№ 22 Warszawa, dnia 19 (31) Maja 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

ZA NIEZNANEM

FANTAZYA

PRZEZ

Elizę Rostworowską.

(Dokończenie).

Wieczorne cienie zalegały zwolna pokój, Janina powstawszy od biórka, szybkim krokiem przechadzać się zaczęła, wreszcie rzuciwszy się w wielkie krzesło w rogu pokoju stojące, zakryła twarz rękoma, powtarzając coraz wolniéj i ciszéj słowa: Nie, nie mogę.

Czas upływał.

Nagle tuż przy niéj stanęła postać jéj matki, pochylająca się nad jedynaczką. Janina wyciągnęła ku niéj obie ręce.

— Mateczko moja, rzekła półgłosem, wysłuchaj mnie póki mam siłę wypowiedzieć ci całą prawdę: ja nie chcę, ja nie mogę zostać żoną Henryka. I szybko, gorączkowo przerywanym głosem opowiedziała historyą marzeń i pragnień. Skończywszy utkwiła w obliczu słuchającéj uważne i błagalne spojrzenie.

Nic nie przerywało milczenia, zacna kobieta zdawała się rozmyślać nad słowami córki, wreszcie otarłszy ukradkiem łzę spływającą po jéj licu, rzekła cichym lecz stanowczym głosem:

— Stało się, kiedy raz pragnienia takie rozbudziły się w twéj piersi, kiedy ci już ciche życie nie wystarcza do szczęścia, nie mogę opierać się pragnieniom twojem. Chcesz poznać ten świat który cię tak nęci ku sobie, poznasz go. Pamiętaj jednak, że na téj drodze nie same czekają cię róże, iż tam dopiero dowiesz się czem są łzy i zawody. Obyś nie złorzeczyła kiedyś czczéj ciekawości jaka zrodziła się w twym umyśle, obyś nie pożałowała cichego szczęścia jakie odtrącasz od siebie. Henryk przybędzie tu za chwilę powtórzysz mu coś mnie powiedziała, może słowa jego wpłyną zbawiennie na postanowienie twoje.

— O nie, nie, mateczko moja najdroższa! wiedziałam że nie odmówisz méj prośbie, że nie będziesz szczędzić starań by córka twa stała się najszczęśliwszą z ludzi. Dzięki ci! Pojedziemy więc na zimę do Warszawy. Co za radość! wołała Janina pokrywając twarz matki pocałunkami.

Głośny turkot kół oznajmił przybycie pana Henryka Warskiego. Janina pobiegła na jego spotkanie, niebacząc na głos matki, która odgadła naprzód jak przybyły tłomaczyć sobie będzie pośpiech dziewczęcia. Ujrzawszy uśmiechnięte oblicze Janiny, jéj błyszczące źrenice, w których tlały iskry zadowolenia, promień niewysłowionego szczęścia rozjaśnił gładkie czoło młodzieńca. Ujął podaną sobie rękę a przycisnąwszy ją z zapałem do ust swych wyszeptał słowa:

— Rozumiem, dzięki ci ukochana.

Wyraz twarzy dziewczęcia zmienił się nagle, wysunęła rękę z jego dłoni i rzekła usiłując nadać swem słowom cechę stanowczości.

— Mylisz się panie Henryku, serdeczne powitanie moje jest dla przyjaciela, nie dla narzeczonego. Żoną pana zostać nie mogę, przyjaciołką zawsze być pragnę, i na tem uczuciu nie zawiedziesz się nigdy. Nie dziw się pan, przed chwilą wyspowiadałam się mateczce mojéj, powiedziałam jéj to co teraz powtórzę. Czuję że nie jestem stworzoną do wiejskiego życia, nie potrafiłabym uszczęśliwić pana, bo myśl moja, bo pragnienia mego serca, biegałyby zawsze po za czemś nieznanem, chęć innego życia trawiłaby mnie ustawicznie; cóżby się więc dla ciebie zostało. Wyjeżdżamy na zimę do Warszawy, gdy z wiosną powrócę do domu, zapomnisz pan już o wszystkiem co minęło, a we mnie, widzieć będziesz zawsze swą najszczerszą przyjaciołkę.

Henryk słuchał słów tych ze zdumieniem z początku, potem opuściwszy głowę na piersi rzekł ścicha:

— Biedne dziecię, nieznane nie zawsze jest szczęściem, jaskrawe płomienie które cię nęcą, zamiast ogrzać i oświetlić, opalą niewinności twéj skrzydła. Dla twego własnego dobra Janino, pomyśl raz jeszcze co chcesz uczynić.

— Myślałam nad tem przez dwa długie lata, nie śmiałam mówić, wreszcie przyszedł czas, wypowiedziałam wszystko, mateczka moja nie chce bym potem przez całe życie żałowała nierozważnego kroku, zezwala więc na prośbę moją. Ty panie Henryku przyjedziesz odwiedzieć nas do Warszawy, prawda?

Henryk poruszył przecząco głową.

— Bóg z tobą biedne dziecię, rzekł, niech przyszłość oszczędzi cię, niech wzburzone życia fale nie zaniosą łódki twéj w bezdenny odmęt. To rzekłszy wyszedł z pokoju.

Odtąd regularne życie jakie wiedli mieszkańcy Wólki, zmieniło się zupełnie. Pakowanie rzeczy, polecenia wydawane służącym, projekta na przyszłość. zajmowały czas pani Borowskiéj, a więcéj jeszcze uradowanéj Janiny, która z radością widziała zbliżającą się chwilę wyjazdu. Krzątając się wśród rozstawionych kufrów, uprzątała z uśmiechem tysiączne przedmioty, zdobiące jéj skromny pokoik o białych ścianach, myśląc jak wkrótce, ustawiać je będzie w świetnem mieszkaniu, w domu przy jednéj z pierwszorzędnych ulic stolicy stojącym. Gdy nadszedł dzień wyjazdu, raz jeszcze rzuciwszy się w objęcia matki zawołała:

— O tak, przekonałam się, że jesteś najlepszą z matek, czyniąc ofiarę dla córki, opuszczając na czas dłuższy miejsce, które było świadkiem szczęśli-

wych dni twéj przeszłości, w którem przebolałaś tak wiele; ale ofiara ta nie pozostanie bez nagrody dla ciebie mateczko moja, przekonasz się, zobaczysz!

Gdy na szarem tle jasnego nieba, zarysowały się w oddaleniu kontury wysmukłych wieżyc i dymiące kominy fabryk, w sercu Janiny zadrgało uczucie najżywszéj radości. Nareszcie, po latach tęsknoty dostaję się do tego ogniska wiedzy, którem każdemu ogrzać się wolno, do tego eldorado uciech i rozkoszy. Ileż to niespodzianek czeka mnie wśród tych murów, tu poznam nieznane mi ideały, tu dam się poznać...

Powóz stanął w bramie domu, w którym poprzednio zamówiono już mieszkanie. Janina wbiegła na schody i zatrzymała się dopiero w eleganckim saloniku, którego urządzenie odpowiedziałoby najbardziéj zepsutemu smakowi.

Pierwsze tygodnie pobytu w Warszawie upłynęły na odnawianiu dawnych znajomości. Z rozlicznych stosunków jakie niegdyś pani Borowska miała w stolicy, niewiele dotąd pozostało. Zawiązywanie nowych nastręczyło trudności o których Janina nie myślała poprzednio, lecz cóż znaczyły te małe chmurki w obec promiennego nieba, jakie roztaczało się w całem blasku nad głową dziewczęcia? Powitanie jéj z ukochaną przyjaciołką lat dziecinnych, wycisnęło łzę radości z oka Janiny, opowiedziała w kilku słowach, jak szczęśliwie zakończyły się dla niéj, długie dnie walki i tęsknoty, jak spełniły marzenia rozbujałéj wyobraźni. Gdy skończyła na ustach Maryi osiadł dziwny uśmiech.

— Litujesz się nade mną Maryo! zawołała Janina a w sercu jéj czuła struna przyjaźni, wydała jakoby dźwięk fałszywy.

— Żal mi cię biedna Janino. Jak myślę że niezadługo żałować będziesz téj cichéj wioski, dawnéj niewiadomości i zacnego serca jakie odepchnęłaś. Opuściłaś rzeczywistość dla urojeń, odrzuciłaś skarby szczerego przywiązania, dla miłości własnéj zachciewek. Nieznane, niezawsze jest tak piękne i barwne, jak ci się to zdawać może. Janino posłuchaj mojéj rady, powróć co prędzéj do cichego życia obowiązku, staraj się odzyskać to serce, które niedawno było twoją własnością, nie pozwól nieuzasadnionem marzeniom wszechwładnie rządzić umysłem twoim, a kiedyś przekonasz się jak byłaś szaloną.

— Maryo! zawołała Janina, przestań jeśli chcesz byśmy nadal pozostały przyjaciółkami.

Marya wzruszyła ramionami i odeszła. Na dnie serca Janiny pozostał żal, który stłumił poniekąd uczucie gorącéj przyjaźni.

— Gdzie idziesz Janko? zapytała pewnego dnia pani Borowska, widząc iż córka kładzie kapelusz.

— Ach mateczko, czuję że nadeszła dla mnie pora działania, udaję się do jednego z wydawców, o którym wiele słyszałam. Chcę oddać w jego ręce zbiór moich poezyi, niech je wydrukuje, na początek chociaż tem dam się poznać światu.

— Czy poradziłaś się kogo, czyś poddała je pod sąd którego z naszych przyjaciół?

— Nie, ale nie lękaj się mateczko, zobaczysz jak ci będzie przyjemnie gdy nazwisko twéj córki ujrzysz wydrukowane. To mówiąc uściskała matkę i wybiegła z pokoju.

Janina z bijącem sercem oddała przyniesiony kajet w ręce poważnego wydawcy, który wysłuchawszy słów jéj rzekł: powróci pani za tydzień, wtedy dopiero będę mógł dać stanowczą odpowiedź.

— Mateczko moja, mówiła Janina, tego samego dnia wieczorem, gdy siedząc w swym saloniku oczekiwały na przybycie zaproszonych gości, czyby nie można umieścić moich akwareli w salach wystawy obrazów. Ja myślę że by to nie przyszło z trudnością, pamiętasz jak sąsiedzi Wólki chwalili moje prace, a choć niebardzo wierzę w ich znawstwo zdaje mi się że nie są najgorsze.

Wśród grona przybyłych gości, znalazło się kilka osób mających rozliczne stosunki w świecie artystycznym. Nie widząc prac Janiny, które dotąd nie zostały rozpakowane, obiecano pani Borowskiéj wyjednać dla nich miejsce, tak bardzo upragnione przez ich twórczynię. Wkrótce potem skromne akwarele Janiny pomieszczono w jednym rogu sali. Radość przepełniała serce dziewczęcia, przypominała sobie z uśmiechem złowieszcze słowa Henryka i Maryi i odcień smutku jaki dostrzegła niegdyś na czole matki, gdy wyspowiadała przed nią historyą swych pragnień. Z nieopisanem szczęściem myślała jak niezadługo matka jéj ukochana, z dumą słuchać będzie pochwał ogółu, wygłaszanych na cześć jéj jedynaczki. Dnie ścigały się szybko, niecierpliwość Janiny wzrastała z każdą godziną, wreszcie nadszedł czas oznaczony przez wydawcę na ostateczną decyzyą. Janina pełna ufności i niepokoju, pośpieszyła na miejsce, gdzie miała usłyszéć wyrok życia lub śmierci.

Ujrzawszy wchodzącą poważny wydawca zbliżył się ku niéj z dobrotliwym uśmiechem na ustach, a oddając jéj zeszyt rzekł:

— Przeczytałem utwory tu zamieszczone, a że młodość i niedoświadczenie autorki wzniecają we mnie szczerą życzliwość, radzę pani zachować rękopism w swéj tece i nie narażać się na krytykę mniéj pobłażliwych. Jeśli to co mówię boleśnie dotyka jéj miłość własną, nie moja w tem wina, za lat kilka niewątpliwie, rzuciwszy okiem na zbiorek tych wierszyków, powiesz pani, że miałem słuszność. Nie każdemu jest dane być poetą, lecz każdy ma przed sobą mniéj więcéj szczytne zadanie życia, jakiem jest spełnienie obowiązku; nie wątpię, że kochające panią osoby, wskażą ci drogę życia, po któréj postępując dojdziesz do zaszczytnego celu i zdobędziesz wewnętrzne zadowolenie. Żegnam panią. To mówiąc odwrócił się w inną stronę.

W piersi dziewczęcia zawrzało, uczuła zawrót głowy, wybiegłszy na ulicę szła wprost przed siebie nie wiedząc dokąd zmierza.

— To krzycząca niesprawiedliwość! powtarzała sobie w duchu, tak się obejść z najpiękniejszemi kwiatami méj wyobraźni, to okropne! Niespodzianie bezmyślnie stanęła u drzwi prowadzących do sal towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

— Mój dobry anioł dla pociechy tu mnie przywiódł, pomyślała, gdy trzeba porzucić pióro, zostają przynajmniéj pędzle i ołówki. Biedne kwiatki wiejskiego ogrodu, czyście się spodziewały takiego zaszczytu, dodała, stojąc przed działami rąk własnych.

Tuż przy niéj zatrzymała się gromadka ciekawych, oderwane słowa rozmowy obiły się o uszy Janiny. Serce jéj uderzyło silnie.

— Oto coś nowego, rzekł jeden z przechodniów zbliżając się do miejsca gdzie stało dziewczę. Lecz zaledwie rzucił uważnie okiem na akwarele, z piersi jego dał się słyszéć tłumiony śmiech.

— Co cię tak rozśmiesza? zapytał towarzysz stojący nieco daléj.

— Przypatrz się temu, odparł pierwszy, nie wiem jak można podobnemi rzeczami zapełniać ściany przybytku muz, nie ma w tem najmniejszego gustu ani talentu, ni znajomości sztuki; doprawdy jeśli tak daléj pójdzie, ujrzymy tu niezadługo częstochowskie bazgroty. To mówiąc odeszli śmiejąc się głośno, nie spostrzegłszy nawet że oblicze nieopodal stojącego dziewczęcia pokryło się śmiertelną bladością.

— Matko moja, Henryku, Maryo czyżby słowa wasze sprawdzać się miały? pomyślała. Lecz nie, to tylko zbieg nieszczęśliwych okoliczności, traf, tylko traf. Poezye nie podobały się temu panu, bo nie zrozumiał młodzieńczych porywów, on taki już stary. Ci krytycy, nie znają kwiatów rosnących na łąkach i w ogrodach naszych, to też niepodobna im było ocenić wierności z jaką przeniosłam je na papier. Zresztą mniejsza o to, karnawał zapowiada się świetnie, w zabawach znajdę to, co daremnie szukałam w poezyi i sztuce.

Janina miała słuszność, karnawał rozpoczął szereg hucznych balów i zabaw wesołych. Pani Borowska widząc chęć i zamiłowanie córki do tych uciech światowych, wzdychała skrycie, co Janina spostrzegała niekiedy, lecz dla uspokojenia macierzyńskich obaw, mówiła całując jéj ręce: jeszcze tylko dwa miesiące mateczko, potem powrócimy do Wólki. I przystrajała się w lekkie i powiewne szaty zakupione u pierwszorzędnych modniarek, potem zadowolona, wesoła, biegła rzucić się w wir tańca i szał zabawy. Ukazanie się Janiny w wykwintnych kołach towarzystwa, zrobiło niejakie wrażenie. Wdzięczna jej postać podniesiona umiejętnie gustem krawcowych, świeżość oblicza jaką mieszkanki wsi przywozić zwykły do bawiących się miast, a którą najczęściéj zostawiają w progach sal balowych, zwróciła na nią ogólną uwagę.

Raz wśród światła gazu i woni egzotycznych kwiatów, gdy wyczerpana szaloną galopadą, rzuciła się w krzesło stojące po za klombem krzewów, Janina ujrzała postać, która przykuła do siebie całą jéj uwagę. Był to młody mężczyzna o bladéj twarzy, niezabarwionéj najlżejszym rumieńcem, o smętnem zamglonem spojrzeniu nieokreślonéj barwy oczów o czarnych włosach przysłaniających czoło, na którem wyryło się kilka bruzd głębokich. Na ustach jego igrał uśmiech nieco pogardliwy. Całość téj postaci dziwnie podobną była do owego widma, które Janina wyzywała wśród marzeń, jakie w jéj wyobraźni zajmowało często miejsce Henryka, i w którem nieświadoma życia dziewczyna widziała ideał swego serca. Nic téż dziwnego, że teraz nie zwróciła uwagi iż bladość cery, była chorobliwym objawem, że krucze włosy umiejętnie zaczesane, miały nienaturalną barwę, że uśmiech, będący raczéj grymasem, wyrażał zniechęcenie, że bruzdy na czole, zagasły blask oczów, świadczył iż człowiek ten żył, użył i przeżył.

Nie zdając sobie sprawy z doznanego wrażenia, Janina nie spuszczała z oka nieznajomego, nawet w chwili gdy ten spostrzegłszy jéj żywe zajęcie, zbliżył się, a wymieniwszy swoje nazwisko zaczął rozmowę. Hrabia *** znał świat i ludzi, może nie z najdodatniejszéj strony, lecz wiedział co zająć mogło wyobraźnię młodéj panny, szukającéj rozrywek wśród szału karnawałowych zabaw stolicy. Mówił o przyjemnościach jakich miasto dostarczało w owéj porze, o projektowanych balach, o teatrze, całość rozmowy ubarwił kilku umiejętnie wyrażonemi komplementami, potem cichszym głosem, nachylając się trochę ku słuchającéj go pilnie Janinie, uczynił kilka złośliwych uwag, nad zgromadzonem towarzystwem. Janinie rozmowa ta łatwa, tocząca się niepostrzeżenie z przedmiotu na przedmiot, niezmiernie przypadła do smaku, odpowiadała chętnie, śmiała się wesoło, broniła nawet bliźnich dowcipnie. Reszta wieczoru upłynęła niepostrzeżenie, hrabia *** nie opuszczał jéj prawie, zdawał się nią wyłącznie zajęty. Wszystkie dotąd znane postacie zbladły i zmalały w obec tego wymarzonego ideału,

Odtąd Janina z większem staraniem układała bujne sploty jedwabnych włosów, z większą niecierpliwością oczekiwała chwili udania się na bale i wieczory. Gdy wysiadłszy z powozu wchodziła na

schody, serce jéj silnie biło na myśl, że za chwilę ujrzy przed sobą tego, który zawładnął wyobraźnią dziewczęcą, przykuł myśl jéj do siebie. Oczekiwanie nie myliło ją nigdy, u drzwi sali balowéj hrabia *** zdawał się czekać na nią. Spostrzegłszy wchodzącą spieszył ku niéj, tańczył tylko z nią, zapewniając iż wtedy jedynie taniec sprawiał mu niejaką przyjemność. Zwolna zastęp młodzieży motylkującéj około Janiny usunął się, zostawiając wolne miejsce temu, który umiał pozyskać jéj względy. Kobiety patrzyły na nią z zazdrością, zewsząd dochodziły do jéj uszów słowa zjadliwéj krytyki, wywołujące na jéj usta uśmiech tryumfu i politowania.

Szczęśliwe chwile zachwytu upływały szybko, karnawał miał się już ku końcowi. Jasne niebo Janiny przysłoniła lekka chmurka, od dni kilku hrabia *** nie ukazał się w towarzystwach uczęszczanych przez panie Borowskie. Zwolna owładnęło nią zniechęcenie.

— Jeśli dziś jeszcze nie spotkam go, myślała, przez resztę dni karnawału nie wyruszę się z domu. Co to znaczy, czy on nie chory? Nie śmiałam zapytywać znajomych, nic téż nie mówiono mi o nim, tylko uważałam jak patrzano na mnie z boku... Ah! jakie to przykre. Nie, dziś z pewnością zobaczymy się, pamiętam przecie co mi mówił niedawno, a choć nie wyrażał jasno swéj myśli, jam go zrozumiała.

Tak myślała Janina ubierając się na bal do domu w którym po raz pierwszy spotkała hrabiego. Usłyszawszy dźwięki wesołéj muzyki, nadzieja odżyła w jéj umyśle, świeży rumieniec ożywił lica, gdy podwoje otworzyły się przed wchodzącemi. Wszedłszy do sali powiodła okiem w około, różne postacie snuły się, wirowały, lecz tego którego szukały oczy Janiny nie było wśród tłumu. Usiadła obok matki smutna i zniechęcona, spojrzenie jéj przykuło się do drzwi. Otworzono je po razy kilka, lecz zawsze w progu stawały obojętne osoby.

— Słyszały panie wielką wiadomość, jaka tak niespodzianie rozniosła się po Warszawie? zapytała niemłoda już panna, ze śpiczastym nosem i ostremi ząbkami, którą po męczącym walcu posadzono tuż przy pani Borowskiéj. Hrabia *** żeni się z bardzo bogatą dziedziczką przybyłą z Litwy, czy Wołynia do stolicy na karnawał. Ma być niеładna, ale niemniéj świetną stanowi partyą, dla zrujnowanego magnata, ciągnęła daléj topiąc w obliczu Janiny jaszczurcze spojrzenie.

Spojrzenie to zostało wytrzymane zwycięzko, tylko rumieniec zniknął z policzków dziewczęcia, ustępując miejsca śnieżnéj bladości. Nie słuchając dalszych słów mówiącéj, czekała by los oddalił ją nieco, wtedy dopiero powstała z miejsca, przeszła przez salę balową, uciekając od gwaru i palących ją spojrzeń obojętnych istot. Po za klombem krzewów zamorskich, wśród cieniu bujnéj zieleni, stało opróżnione krzesło, to samo które zajmowała Janina, w chwili, gdy po raz pierwszy spostrzegła swój ideał uwidomiony w rzeczywistości. Ujrzawszy się samą, zakryła twarz rękoma i wybuchła głośnym płaczem.

— Matko moja, Maryo, Henryku, czemuż wcześniéj nie zrozumiałam słów waszych! jęknęła. Nagle, przez łez zasłonę, ujrzała jasny promień światła, uczuła iż rękę jéj ścisnęła ciepła dłoń. Otwarła oczy. Przed nią, z zapaloną świecą w ręku stał Henryk Warski. Janina przetarła oczy, w około panowała cisza i spokój, pokoik o białych ścianach zdawał się uśmiechać do siedzącego w wielkiem krześle dziewczęcia.

— Pani, rzekł półgłosem Henryk, przybyłem tu upoważniony przez matkę twoją, by usłyszéć ostateczny wyrok, czy odrzucisz serce które ci się oddało bez podziału, czy téż, przyjmując je, uczynisz mnie najszczęśliwszym z ludzi?

Janina patrzyła nań ze zdumieniem, lecz gdy anioł snu uleciał, spłoszony rzeczywistością, gdy po chwili poznała iż widma przez nią widziane, nie istniały na jawie, iż ciężkie zawody i próby, były tylko snu igraszką, powstała z miejsca, utopiła załzawione źrenice w twarzy stojącego przed nią młodzieńca, a wyciągnąwszy ku niemu obie ręce, zawołała drżącym głosem:

— Henryku, zacny, szlachetny, prawy, kocham cię, ciebie jednego chcę kochać, tobie tylko wierzyć mogę!

Silne ramiona młodzieńca objęły gibką kibić dziewczęcia, usta jego spoczęły na jéj dziewiczem czole. Odsunąwszy go z lekka Janina, która zwolna odzyskała zupełne posiadanie saméj siebie, otrząsłszy się z przykrego wrażenia jakie wywarł na niéj nużący sen, który trwał przez kilka godzin, pobiegła do biórka, a chwyciwszy rozłożony list przed kilku godzinami pisany do przyjaciółki, rozdarła go na części i wrzuciła w kominek. Henryk patrzył na nią z zachwytem, nie zdając sobie sprawy z jéj gorączkowych ruchów, upojony szczęściem i radością.

W kilka miesięcy potem Janina pochylona nad arkuszem białego papieru pisała co następuje:

„Uwiadomiłam cię już dawniéj Maryo, o mojem zamążpójściu, opisywałam ci wówczas jakim jest mój narzeczony i jakiego spodziewam się szczęścia; dziś zwracam się ku tobie przyjaciółko moja, by ci o niem powiedziéć słów kilka. Nie będę rozwodzić się nad tem, co tylko serce przepełnione najczulszem przywiązaniem odczuć może, powiem ci tylko, że szczęście stało się w całéj pełni moim udziałem. W Henryku widzę najszlachetniejszego z ludzi, który przy ciągłéj niezmordowanéj pracy, nie traci swobody umysłu, jaką dać może, czyste, wolne od wyrzutów sumienie. Umie on odczuć troski bliźniego, nieść mu pomoc sercem i dłonią.

„Czas mój jest zajęty od rana do zachodu słońca, staram się moją mrówczą pracą, przyłożyć cegiełkę do budowy gmachu powodzenia naszego, spełniony obowiązek jest mi najmilszą nagrodą za znój każdy.

„Wieczorem, gdy ukochany mój powraca do domku naszego, który napełniłam kwiatami, pragnąc by mu się stał rajem, idziemy razem na zieloną łączkę, tam gdzie płynie rzeczka przejrzysta, gdzie szeleszczą liście wierzb płaczących. Tam to mówimy o przyszłości, układamy plany prac nowych, rozpatrujemy rezultat dokonanych, napawamy się obrazem obecnego szczęścia. Słońca zachodzącego promienie, złocąc zbóż łany, oświetlają wesoło okolicę, potem księżyc blady przegląda się w rzeczki falach, słowik swym śpiewem napełnia powietrze, a w sercach naszych, wre radość niezrównana, płonie uczucie wielkiéj wdzięczności dla Tego, który nas połączył.

„Pewnego dnia, śmiejąc się opowiedziałam Henrykowi ów sen pamiętny dla mnie. Błogosławiony sen, któremu zawdzięczam szczęście, największe jakie człowieka spotkać może na ziemi, odrzekł ściskając moją rękę. Powróciliśmy do domu, gdzie czekała matka moja, która słysząc wesołe głosy nasze, otarła łzę radości i mymówiła słowa błogosławieństwa, jakie obiły się o uszy nasze.

„Teraz Maryo rzeczywistość mnie zadawalnia, dla niéj chcę żyć i działać, nie pragnę nieujętych, urojonych ideałów, nie tęsknię już za nieznanem.

Janina.

„*Dnia 10 Czerwca 187...*"

SMUTNA PIOSENKA.

Smutna płyniesz mi piosenko,
Smutny bo twój świat!
Spłynął promień wraz z jutrzenką
I za chmury padł.

Jakby skrzydło kto rozdwoił,
Pomkniesz—i w dół znów...
Ach, czy taki lot się roił,
Z pierwszych życia snów!

Stada ptaków skrzydełkami
W chmury biją już;
Gdzież ty wzlecisz ciężka łzami
Z tych zamieci, burz!

Próżno, próżno z ranną pszczołą
Witać dzień i kwiat!
Groźne mary stoją w koło,
Zasłaniają świat.

Po co było na przedzorzu
W złudnych blaskach śnić!
Sny jak perły legły w morzu,
Już im w toniach żyć!...

Nie dopatrzéć konchy na dnie,
Kiedy potok wre;
Nie ulecićć pieśni snadnie,
Zanurzonéj w łzie.

Bo łza gniecie jak mogiła,
A łez tyle tu!
Toż świat wiosna ożywiła,
Pieśni braknie tchu.

O piosenko czuciem młoda,
Temuż mi cię żal!
Znikła lotów twych swoboda,
Śród burzliwych fal.

Romania Kamieńska.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XVIII.

Piękne, pogodne niebo zajaśniało teraz nad Wenecyą. Były to owe piękne, urocze dnie jesienne, jakiemi tylko to nadwodne miasto poszczycić się może. Ciemny szafir z góry odbijał uroczo od szmaragdowych wód morskich, po których wesoło uwijały się gondole, poważnie płynęły statki parowe i zwolna przesuwały się olbrzymy zaatlantyckie...

Stała pogoda podwoiła ruch i tak już zawsze ruchliwego miasta, z czego nie zaniedbał korzystać przemysł miejscowy i zagraniczny. Na Riwie, jako na bardziéj słonecznem miejscu miasta, gdzie ruch mieszkańców był największy, pojawiły się wystawy różnych osobliwości, zachwalanych nieustannie przez niestrudzonych właścicieli lub najętych do tego wywoływaczy. Przed drzwiami teatralnie urządzonego sklepu, stał od rana do nocy biedny najemnik i co kilka sekund wywoływał donośnym głosem, że tam za drzwiami jest milion bardzo ładnych rzeczy,

które sprzedają się po jednéj tylko lirze!... Na przeciwko na kamiennéj tarasie ulokował mniejszy przemysłowiec stolik czerwoną nakryty serwetą, nad którym rozwiesił czarne płótno ze złotym napisem, że na tym niepokaźnym stoliku sprzedaje się za małą cenę skarb nieoceniony... kamień mineralny, który bez bólu i bez doktora leczy ból zębów, reumatyzm, uroki, a nawet użyty według przepisu może być skuteczny w różnych moralnych chorobach ludzkich. Człowiek z cudownym kamieniem woła i zachęca do kupna swego produktu, robi na gapiących się marynarzach czarnych szczęśliwe eksperymenta a gdy to wszystko nie pomaga, wtedy bierze trąbkę do ust i wygrywa na niéj w sposób komiczny różne znane melodye, czem zwabiona liczna publiczność musi wysłuchać długiego kazania o czarodziejskim kamieniu.

Ale kamień czarodziejski dostaje nagle rywala. O kilkanaście kroków od niego staje człowiek na pozór niepokaźny, ale udający po mistrzowsku koguta, śpiewającego różne melodye z oper. Publiczność złożona po większéj części z załóg okrętów zamorskich, porzuca tłumnie kamień czarodziejski i otacza człowieka-koguta...

Tam znowu przed jaskrawą budą zachwala wywoływacz optyczne obrazy drastycznéj treści jako to: rządy komuny w Paryżu, pożar Tuilleriów, pojedynek amerykański, rekin połykający marynarza... Tu znowu pod oknami hotelu, w którym biesiadują właśnie bogaci forestieri, grupuje się chór złożony ze stu biednych śpiewaków i wykonuje pieśni chóralne z precyzyą godną.. lepszego miejsca.

A cały ten ruch życia odbywa się na tle czarodziejskiem, na które składają się urocze widoki utworzone z wody i marmurów, kościołów i pałaców jakby z głębi morza wyrastających...

Dla Maryana był ten ruch wcale nowym, mógł go podziwiać i nim się zachwycać, ale tym razem tworzył on tylko tło dla tych uczuć które w téj chwili owładnęły całą jego duszą.

Codziennie robiono wspólne wycieczki po wodach morza albo po chodnikach marmurowych. Zwiedzano kościoły i pałace, i przypominano sobie przy tych marmurowych kronikach pamiętne karty z dziejów wiekopomnéj Rzeczypospolitéj..

Podczas gdy pan Salezy ze staruszką na balkonie przy ciepłem jesiennem słońcu się wygrzewał, przebiegała lotna gondola z herbem Jastrzębców różne wodne ulice miasta a płynące w niéj towarzystwo zwracało niemałą na siebie uwagę. Flaminia i Eliza należały bezsprzecznie do najpiękniejszych forestierek w mieście, a dwaj ich towarzysze Maryan i hrabia wyglądali przy nich jak szczęśliwi narzeczeni...

Spektatorowie z brzegu domyśliwali się słusznie że ta gondola mieści w sobie wiele pięknych, słabych marzeń i niejedna pierś podniosła się westchnieniem, że dla niéj takich marzeń nie było, lub że już przeminęły...

Zaprawdę były to marzenia dopiero i nic więcéj. Flaminia byłaby się przestraszyła, gdyby kto te marzenia głośno wymówił. Ale wszyscy byli dyskretni, nikt nie mówił głośno o tem, co tam w duszy powoli się snuło, a nawet wesoła teraz nad miarę Eliza nie poruszyła ani słówkiem owych cichych snów, jakim oddawali się widocznie Flaminia i Maryan.

Mimo to szczególny był między nimi stosunek. Od pierwszego już dnia tak się zbliżyli do siebie, jak by oddawna byli się znali. Tyle bowiem już naprzód wiedzieli o sobie, tyle o sobie myśleli, że zanim się jeszcze poznali byli już sobie znajomi.

Z zachowania się Maryana było widać, że to, co sobie z listów siostry wymarzył, znalazł w rzeczywistości, a może nawet i więcéj. Flaminia bardzo mu się podobała, a każdy dzień przyrzucał coraz więcéj powabu do jéj wdzięków, odkrywał coraz więcéj ładnych przymiotów.

To samo można było wyczytać z twarzy Flaminii. Malowało się na niéj szczęście niezwykłe, w oczach można było czytać serdeczne uczucia, przechodzące nawet czasem w uwielbienie. Słuchała Maryana z uwagą, gdy jéj o dziejach Rzeczypospolitéj Weneckiéj opowiadał, podziwiała we wszystkiem jego naukę i rozum.

Sytuacya była jasna, dwa serca widocznie zbliżały się do siebie, chodziło tylko o sposobność, aby to zbliżenie należycie zaznaczyć.

Sposobność taka wkrótce się nadarzyła.

Pewnego pięknego wieczora gdy obie młode pary pod opieką pani Apolonii na placu św. Marka się przechadzały, a muzyka wojskowa licznie zgromadzonym słuchaczom przygrywała—podał Maryan rękę Flaminii a hrabia matce i córce i wszyscy udali się pod arkady na lewéj stronie, gdzie mniej było natłoku.

Maryan rozmawiał z Flaminią o różnych kościołach, które dnia dzisiejszego zwiedzali, a Flaminia uzupełniała jego opowiadanie różnemi uwagami ze swojéj strony. Od kościołów przeszli do mieszkańców, od mieszkańców w ogóle do ludzi, a gdy już przy tym temacie byli, niedaleko im było do serc i uczuć ludzkich. A oprócz tego stało się jakoś, że zamiast wrócić pod arkady, wyszli na piazzettę i powoli zbliżyli się do morza.

Nad morzem zeszedł właśnie księżyc w pełni i innem światłem obrzucił dalsze z głębi wód wychodzące pałace i kościoły...

Wenecya przy świetle księżycowem jest zachwycająca. Przy jasnych promieniach księżyca słabo i smutno paliły się płomyki gazowe i latarnie zawieszone na masztach okrętów.

— Co za widok czarodziejski! zawołał Maryan w zachwyceniu.

— Prawda, odpowiedziała w zamyśleniu Flaminia, ale czem byłby ten widok, gdyby niebo nie użyczyło mu oświetlenia?... Patrz pan, jak mizerne są te światełka, które ręka ludzka pozapalała.

Maryan pomyślał nad temi słowami. Mieściły one coś w sobie, co jego ciekawość w wysokim stopniu obudziło. Flaminia bowiem nieraz czyniła podobne aluzye.

— Dla czego pani tak nizko zawsze to ceni, co ziemia nam dać może. zapytał po chwili.

Flaminia ruszyła ramionami.

— Albo ja wiem, odpowiedziała smutno, sama nieraz nad tem się zastanawiałam.

— Może masz pani jaki powód do tego w swojem życiu?

— Odkąd się życie moje zaczęło, już dla mnie nic ciekawego nie było... i to może jedyny jest powód, że mi jakoś jest tak zimno na świecie.

— Zimno pani na świecie?

— Tak panie, czasami zdaje mi się, że mi serce zamarza.

Maryan uczuł teraz, że ręka Flaminii nagle drgnęła jakby od zimna.

— Serce rozgrzewa się każdem szlachetniejszem uczuciem, rzekł po małéj pauzie.

— Prawda, odpowiedziała Flaminia, ale ja nie zaznałam tego uczucia, które zazwyczaj rozgrzewa serce ludzkie. Gdy świat ujrzałam, rodziców moich już na świecie nie było...

Urwała nagle a Maryan czuł znowu silne drgnięcie ręki, jakby od jakiego wielkiego bólu.

— Już więc w dzieciństwie mojem, ciągnęła po małéj pauzie daléj, nikt mnie nie kochał, ja nikogo ukochać nie mogłam, to jest taką miłością, jaka istnieje między dzieckiem a rodzicami...

— Tak wcześnie straciłaś pani rodziców... czy to przez jaki wypadek...

Tu musiał urwać Maryan, bo Flaminia nagle tak zadrżała, jakby gwałtownéj febry lub spazmów dostała. Umilkł więc i spojrzał niespokojnie na nią.

Po chwili przeminęło drżenie ale Maryan nie nalegał już daléj pytaniem. Flaminia zaczęła sama:

— Rosnąc bez miłości rodzicielskiéj i bez uczuć, jakie każde dziecię oddaje rodzicom swoim za ich miłość, zamierało coraz więcéj serce moje śród ludzi niczem nie podsycone...

— Miałaś pani krewnych...

— Krewni byli mi tylko wdzięczni za moje usługi. .

— W takim razie serce na prawdę może zamrzéć.

— Tak mi się téż zdaje. Czasami dziwne nawet mam wrażenia. Zdaje mi się naprzykład, że ogień nie piecze że zamało jest gorący. A wtedy nachodzi mnie jeszcze dziwniejsze pragnienie. Chciałabym, aby te wszystkie drobne, porozrzucane płomyki połączyły się w jedno duże ognisko, lub żeby to wszystko co widzę przed sobą nagle olbrzymim płomieniem buchnęło... wtedy weszłabym w te płomienie jak się wchodzi do ogrzanego pokoju, a w tych płomieniach byłoby mi cieplej...

Szczególne uczucie opanowało Maryana przy tych słowach Flaminii. Oboje stali wtedy nad brzegiem morza, które z cichym szelestem podmywało marmurowe schody, do których zwykły gondole przybijać. Sine światło księżyca nadawało gładkiéj szybie wody jakieś niezwykłe oświetlenie, w którem zdawały się majaczyć zielono blade Najady wychylające się ze swoich wodnych pałaców... A zpoza nich występywał groźnie olbrzymi cień kolumny z lwem św Marka na szczycie, a po drugiéj stronie kolumna ze św. Jerzym dotykała prawie ich stóp opowiadając krwawe tego miejsca dzieje...

A śród tych fantastycznych obrazów stała Flaminia spokojnie nad brzegiem jak piękny posąg, jakby rzeczywiście dla braku ciepła w sierocem sercu w zimny marmur zamienić się chciała...

Ale Maryan nie lękał się o to. Trzymając ją pod rękę czuł właśnie szybko bijące jéj serce, czuł nawet że tętno jego coraz więcéj się wzmaga... ale w téj chwili zbudził go nagle głos tuż z po za niego wychodzący.

Oboje obrócili się i obaczyli panią Apolonią i Elizę z hrabią.

— Szkoda, zawołała Eliza, nie widzieliście zabawnéj sceny, która wydarzyła się na placu.

Ani Maryan ani Flaminia nie zapytali o tę scenę, a gdy potem pani Apolonia zrobiła, uwagę że już jest późno, zwrócili się wszyscy do domu.

Na drugi dzień obrócił się wiatr, a mieszkańcy Wenecyi przypomnieli sobie nagle że to zima. Było to już na schyłku Grudnia w przeddzień wilii Bożego Narodzenia. Gęsta, biała mgła zakryła całe miasto, a gęsty deszczyk zaczął rosić marmurowe chodniki.

Na to pierwsze hasło zimy weneckiéj poprzątali niektórzy z mniejszych przemysłowców swoje budki i stoliki z miejsc publicznych, a nawet człowiek z czarodziejskim kamieniem zwinął swój namiot, aby do cieplejszéj gdzieś więcéj na południe udać się strefy.

Jakkolwiek zima wenecka z gęstą morską mgłą ma być bardzo skuteczną dla pacyentów, mimo to przerywa nieco zdrowszym mieszkańcom czy raczéj turystom ulubione wycieczki i ustawiczne przebywanie pod gołem niebem.

Mała polska kolonia nie poniosła jednak z tego powodu wielkiéj szkody. Skupiono się tylko więcéj i więcéj zbliżono do siebie, roznieco no ogień na kominku, jeżeli koniecznie potrzeba było, i zgromadzano się przy kominku rozrywając się rozmową, grą i śpiewem.

Nadchodzącemi świętami podzieliły się dwa domy. Wilią miano spędzić u państwa Salezych, a drugi dzień świąt wzięła dla siebie staruszka, aby zacnych gości swoich i przyjaciół godnie ugościć.

Ileż to pięknych złotych wspomnień przyniósł wszystkim pierwszy dzień świąt więcéj prawie narodowych niżeli religijnych. Jak inaczéj biły serca gdy się przyszło z drugimi opłatkiem dzielić. Ileż to dawnych na dnie serca spoczywających uczuć wybiło się teraz na wierzch z mętów światowych? Jakże dziwnie odmładniały dusze, którym się zdawało, że tego dnia już w tych samych ciałach nie będą?...

Hrabia był gościem. Dziwił go niepospolicie ten poważny nastrój wszystkich, którzy w tym dniu byli jakoś innymi niżeli zwykle. Nawet Eliza nie miała dzisiaj owego żartobliwego uśmiechu na swojéj twarzy, którym nieustannie czarowała swego pretendenta. Zamiast tego uśmiechu pojawił się na jéj twarzy wcale nieznany tam gość, pewne rozrzewnienie z lekką chmurką zamyślenia. Nic dziwnego. Dzień dzisiejszy przywoływał jéj tyle rzeczy do pamięci, które później w drodze życia gdzieś się pogubiły... A cóż jéj teraz na resztę dni zostanie?... Czy i to, o czem dzisiaj marzy, nie zostanie gdzie po za nią, a ona będzie musiała iść daléj sama, samotna...

Flaminia nie miała w tym dniu żadnych bolesnych wspomnień, któreby jéj serce smutkiem napełnić mogły. To co mogło w tym dniu być dla niéj bolesną myślą, już dawno przebolało, a dzisiaj otwierała się dla niéj nowa przyszłość, która obiecywała jéj szczęście za którem dotąd tęskniła... Rozkoszna nadzieja malowała się w jéj oczach, dzisiejszy dzień świąt mógł być ostatnim, w którym była jak dotąd sama jedna na świecie...

Pan Salezy płakał gdy opłatek wziął do ręki. Dawniéj gdy był młody i dzień ten za granicą w wesołem kółku spędzał, nie myślał wcale o tym dniu, a nawet może dziwił się, że inni mogą o nim pamiętać jeszcze. Dzisiaj gdy złamany chorobą śród rodziny ten dzień obchodzi, gdy nie wie czy na drugi rok w tem kółku go nie zabraknie, dzisiaj opanowała go rzewność i szczęśliwy był że mógł płakać. Pani Apolonia także zapłakała, bo przypomniała sobie dni swoje młode i nadchodzącą dzisiaj już starość. A koroną tego wieczora była niespodzianka przygotowana przez Elizę. Gdy bowiem wieczerza się skończyła, otworzył służący drzwi do drugiego pokoju, z którego buchnęła jasność nadzwyczajna. Było to boże drzewko oświetlone kolorowemi świeczkami i obwieszone różnemi bakaliami, do których przywiązane były wiersze treści rozmaitéj.

Hrabiego włoskiego bardzo ubawił ten wieczór, uważał go tylko trochę za dziecinny. Wytłomaczył mu tę rzecz Maryan.

— To prawda, rzekł z powagą, że wieczór ten u nas mieści w sobie bardzo wiele rzeczy, jakiemi zwykły się tylko dzieci cieszyć i bawić. Jest także powszechne mniemanie, że wieczór taki sprawia się więcéj dla dzieci niżeli dla dorosłych. Wchodzi nawet zwyczaj teraz w modę, że nie zachowują go w domach w których nie ma mniejszych dzieci. Ja zaś inaczéj zapatruję się na nasz zwyczaj obchodzenia tej uroczystości. Sądzę że choć raz na rok powinien człowiwiek powrócić do swojéj dawnéj sfery dziecięcéj, i w téj sferze niejako odmłodzić się. Powinna to być dla niego owa kąpiel duchowa, mogąca go obmyć z naleciałości wieku, w którym nie jest się tak niewinnym i szczerym, jak w wieku dziecięcym... Człowiek i społeczeństwo odmładzają się w ten sposób w tym dniu, czerpiąc z młodych wspomnień swoich siłę i zdrowie na dalszą drogę żywota...

Hrabiemu włoskiemu podobały się te słowa, a Flaminia przedarła się przez wszystkich i podała Maryanowi białą rączkę swoją dziękując mu serdecznie że cudzoziemcowi wytłomaczył w tak podniosły sposób obyczaj narodowy.

Stosownie do słów Maryana zaczęło teraz towarzystwo w istocie wracać do wesołych dni młodości. Zrywano ze śmiechem bakalie z zielonych gałązek drzewa i czytano wiersze, które zrywającemu dostały się przez przypadek. A przypadek ten był często tak rozsądny a nawet dowcipny, że hrabia włoski pękał od śmiechu i cieszył się tą rozrywką jakby rzeczywiście był dzieckiem.

Maryan z Flaminią mieli także wiele wierszy do odczytania, a i dla nich był przypadek nadzwyczaj łaskawy. obiecując im wiele szczęścia i więcéj jeszcze pieniędzy.

(d. c. n.)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego

(Dalszy ciąg)

Rozdział XVI.

Po téj chwili popłochu Klementyna i pan von Elze sami zostali w salonie. Czas jakiś milczeli; młoda kobieta tak panowała nad sobą że z ócz jéj ani jedna łza nie popłynęła. chociaż serce tak niemi przepełnione było; rozmawiać zaś nie była w stanie. Pan von Elze dobrze uważał jéj wzrok posmutniały i ciężkie, głębokie westchnienia; patrzył z zadowolnieniem na te oznaki wewnętrznéj boleści, lecz pomimo całéj swojéj łatwości w obcowaniu, nie prędko stosowne wyrazy mógł znaleźć. Jednak z chwili téj. która się może nigdy nie powtórzyć, korzystać postanowił.

Parę razy przeszedł się po sali; przystąpił do drzwi i patrzył na postępy ognia. Czas uchodzi, pomyślał i zwrócił się do Klementyny, która nieporuszona, milcząca, siedziała na jednem miejscu.

— Czy sądzi pani że straty będą znaczne? zapytał.

— Tego nie wiem, odpowiedziała Klementyna i znowu nastąpiła przerwa.

— Czy w téj całéj sprawie może Gustawa zarzut jakiś spotkać, choć może z téj przyczyny że na chwilę opuścił stanowisko swoje...

— I tego nie wiem... znowu zapanowało milczenie.

Pan von Elze usiadł na sofie obok młodéj kobiety i odezwał się cichym dobitnym głosem:

— Pozwoliłaś mi łaskawa pani nazwać się twoim przyjacielem; jeżeli naprawdę zostać mi nim wolno, to wysłuchaj pani prośby mojéj i przerwij to uporczywe milczenie, które mi więcéj sprawia przykrości niż wpowiedzieć mogę.

— I o czemże mam mówić? spytała Klementyna.

— Powiedz mi pani że jesteś szczęśliwą! gdyż niepewność tego mnie zabija.

— Szczęśliwą? powtórzyła młoda kobieta przy tem słowie dwie łzy stoczyły się z jéj oczu; czyż jest kto prawdziwie szczęśliwym?

— Powinna nią być kobieta, która wie że jest kochaną, kochaną przez mężczyznę godnego jéj miłości! O Klementyno! ciągnął z zapałem chwyciwszy jéj rękę, wierzaj mi, istnieje jeden, któremu na uśmiechu twoim zależy więcéj, jak na uznaniu swoich przełożonych: który wolałby widziéć spalone okręty całego świata jak ciebie pani płaczącą! Milczałbym, gdybym cię widział szczęśliwą; byłbym ztąd uciekł z zakrwawionem sercem, ale bym milczał. Lecz widząc że pani jesteś nieszczęśliwą, mówię, gdyż do mówienia mam prawo! Tego przenieść nie mogę aby istota, którą kocham, nieszczęśliwą była! O Klementyno! wszakże oddawna przeczuć musiałaś, że ja kocham ciebie!

Gdy te słowa mówił pan von Elze głosem namiętnym, sztucznie udanym, z zimną krwią w myśli rozważał, czyby nie było za śmiałym krokiem upaść na kolana, dodając przez to więcéj znaczenia temu wyznaniu swéj miłości. Głęboka cisza na dworze, drżenie pięknéj ręki którą ciągle w swojéj trzymał dłoni, silny rumieniec pokrywający twarz Klementyny, dodały mu odwagi, nie puszczając jéj ręki zsunął się z sofy i ukląkł przed nią na jedno kolano.

Jeżeli sądził że zuchwałością tego kroku zaimponuje młodéj kobiecie, to bardzo się omylił. Pomimo że serce jéj biło gwałtownie, była jednak w stanie wysuwając rękę z jego dłoni powiedziéć prawie z uśmiechem na ustach:

— Gdybym nie wiedziała że w téj chwili więcej współczucie jak miłość mówi przez pana; gdybym nie wiedziała że w téj chwili nie widzisz pan przed sobą wolnéj od namiętności Klementyny, ale niewierną Adelajdę swoją, byłabym zmuszona prosić pana byś mnie natychmiast opuścił, lub sama bym to uczyniła. A więc mówię tylko: niech się pan opamięta, wstań i mów tak jak przystoi przyjacielowi do uczciwéj żony innego człowieka.

Odpowiedź ta zmieszała nieco pana von Elze, łatwiéj umiałby sobie poradzić z wybuchem silnego oburzenia, i pomimo że drżenie jéj głosu i próżność jego szeptały mu, że ten spokój sztucznym jest tylko, widział jednak, że jeśli chce wygrać sprawę swoją, bardzo przezornie postępować musi. Podniósł się zatem i założywszy ręce stanął przed młodą kobietą mówiąc swym najposępniejszym głosem.

— Żona innego! wyborny to napis na grobie złamanego serca, zburzonego szczęścia całego życia! Tak jest! żona innego! a czy ten inny wie co on posiada czy pojmuje on to niesłychane szczęście jakie ma w udziale? O! pani! to męczarnia miéć serce przepełnione gorącą miłością, a być zmuszonym milczéć, tłumić ją i ukrywać, nic nie módz zrobić dla ukochanéj, zaledwo chustkę z ziemi podnieść, po którą mąż schylić się nie raczy, gdy dla żony tego innego z taką radością niosłoby się życie w ofierze, i wszystko co człowiek poświęcić może!

— Nie poznałeś pan Gustawa, i mnie nie poznałeś; a przede wszystkiem mało pan znasz samego siebie: spokojnie odpowiedziała Klementyna. Ja wiem pan mi dobrze życzysz i to przekonanie właśnie, pozwala mi mówić z panem spokojnie i po przyjacielsku. Serce pana znam lepiéj niż sam sądzisz, uważasz mnie za nieszczęśliwą i bolejesz nad tem, więc zdaje się panu że mnie kochasz, lub powinieneś kochać. A z czego pan wnosi że nie jestem szczęśliwą? Czy z tego może że mnie Gustaw nie obsypuje tysiącem drobnych usług i grzeczności, do których jak się pan sam przekonać mogłeś, tak małą przywiązuję wagę? Lub może z tego, że

w chwili tak łatwo wytłomaczonego uniesienia, wyrządził mi przykrość małą? Bardzo nieoględnie z mojéj strony że to pokazałam po sobie, lecz nieoględność tę tak źle sobie tłomaczyć, nie powinienby przyjaciel!“

— Widocznie chce pani siebie i mnie łudzić, z goryczą odparł pan von Elze: co do pani może się to uda, ale co do mnie, rzecz niemożliwa! Długo o! długo i dobrze badałem panią. Rozważ tylko, wszak jesteś jeszcze tak młodą, długie życie leży przed tobą, a przykrości jakich doznałaś dzisiaj, jakich już nieraz doznawałaś wprzódy, a dużo jeszcze przenieść będziesz zmuszona, mogą być usunięte! Ani boskie ani ludzkie prawo nie zabrania ci pani zerwać ten węzeł, który z czasem na zbyt ciężkie jarzmo zamienić się musi! Wybór to pani, prawda! ale pani wybierała w ślepem niedoświadczeniu młodości; teraz gorzkie doświadczenie otwiera pani oczy, a więc teraz z otwartemi już oczyma wybieraj pani raz jeszcze!

— Na Boga! przestań, nie wiesz sam co mówisz panie von Elze! zawołała Klementyna z żywością i oburzeniem.

W téj chwili otworzyły się drzwi od przedpokoju i służąca Klementyny stanęła w progu.

— Może pani zechce pójść do małego, bo znowu płacze i jakiś niespokojny.

— Natychmiast! odpowiedziała Klementyna powstając szybko, a gdy dziewczyna odeszła, rzekła spokojnie: jeżeli nadal mamy być przyjaciółmi, nigdy więcéj nie odzywaj się pan do mnie w ten sposób, ja, postanowiłam sobie wyleczyć pana z jego niechęci do życia i ludzi, a pan za najlepsze chęci moje tak się odwdzięcza niegodnie, a gdy pan v. Elze chwycił za kapelusz:

— Zostań pan, dodała poważnie, tak nagłe wyjście pana każdego zastanowić by mogło; za parę minut powrócę.

Zaledwo drzwi zamknęły się za nią Hedda i Paweł weszli do pokoju.

— Gdzie Klementyna? spytała Hedda.

— W téj chwili pani inspektorowa wyszła do małego; zapewne niezadługo powróci.

— Panno Heddo! wołał Paweł, oto szklanka ponczu, proszę wypić aż do kropli; a teraz zdejm pani te mokre suknie, bo zaziębić się łatwo.

— I co mi szkodzić może ta trocha deszczu, rzekła Hedda; ale w tejże chwili jakby posłuszne dziecko, poszła uczynić co jemu kazano.

Obaj panowie przez parę minut zostali sami i przez otwarte drzwi szklanne przyglądali się płonącemu okrętowi który zerwawszy się z kotwicy, jak to przepowiedział komendant, pchany silnym wiatrem wprost na Nedur pędził, podobny do olbrzymiego, ognistego widma.

Klementyna, na pozór zupełnie spokojna, powróciła do panów; w tejże chwili nadeszła Hedda i śmiejąc się zawołała: Zgadnijcie gdzie jest p. płatnik?

W zamieszaniu wszyscy o staruszku zapomnieli. Pewno i on do ognia popłynął, odezwał się pan von Elze.

— Boże uchowaj! jest na górze w swoim pokoju i w łóżku, śmiejąc się mówiła Hedda.

— Niepodobna! zawołali wszyscy.

— Z największą pewnością. Zaledwo pożar spostrzeżono, natychmiast zażądał światła do swego pokoju, a Krystynce która go prowadziła, polecił powiedzieć każdemu co się pytać o niego będzie, że prosi by go zostawiono w spokoju, że na ogień patrzeć nie może, i widzieć go nie chce, poczem drzwi na klucz zamknął, a Krystynka słyszała jak głośno jęczał i wzdychał. Czy to nie istne dziwactwo?

— Wcale nie! odezwał się Paweł, ten p. płatnik, ten niby poczciwy staruszek, jest niczem innem jak tylko złośliwym, psotnym duchem morskim; odgadłem to w pierwszéj zaraz chwili gdy tego rana wszedł do kajuty. Jego zjawienie się było wróżbą zniszczenia okrętu, i nie sądźcie by zamknięty w swoim pokoju spokojnie spoczywał w łóżku; w téj chwili właśnie o parę mil ztąd może już się drapie po ścianie jakiego okrętu by mu zwiastować nieszczęście!

To żartobliwe intermezzo tak Klementynie jak panu von Elze oszczędziło przykrości pierwszych chwil spotkania, po tak niemiłem zajściu. Pożar już ugaszony został, czyli raczéj okręt spalił się do szczętu, i lada chwila spodziewano się powrotu łodzi, oczekując niecierpliwie szczegółowych wiadomości tyczących się pożaru.

Niebawem nadpłynęły one; brakowało Gustawa, który na „*Orła*“ powrócił. Komendant opowiadał że przybyli za późno, i nie byli już w stanie zatopić okrętu, zresztą szkoda niewielka tego starego pudła, głównie chodziło o węgle, gdyż narzędzia wszystkie asekurowane. Z ludzi jeden tylko lekko skaleczony, syn starego Rickmana, chłopak upadł nieszczęśliwie, i skarży się na silny ból w krzyżu. Zapytał potem o płatnika, a gdy usłyszał że tenże schronił się zaraz, przy wybuchu pożaru, opowiedział że przed wielu laty biedny człowiek stracił był w pożarze młodą żonę i dwoje dzieci, nie można się dziwić zatem przerażeniu, w jakie go widok ognia wprowadza. Niezadługo rozeszło się towarzystwo i tak dziś jak zwykle, komendant każdemu dobréj nocy życzył.

Rozdział XVII.

Od owéj nocy w któréj stary okręt uległ swemu przeznaczeniu, upłynęło dni parę, i zdawało się że na Nedurze wszystko do dawnego wróciło porządku. W każdym razie kogut ze swoją rodziną dawno już wyszedł z pod łodzi, gdyż jasne słońce spuszczało teraz na wyspę potok olśniewającego światła w zamian za deszcz obfity, który wówczas wylewały ciemne chmury. Morze było spokojne i gładkie jak zwierciadło, a na ciemnym błękicie wód, biała pierś płynącéj zdala mewy, lśniła się, błyszczała jakby jasna gwiazda. U okien ogrodowéj sali zapuszczono zielone żaluzye, dla motyli i muszek pogoda była prześliczna, dla ludzi może za gorąco trochę.

W skutek upałów przerwano zwykłe przechadzki; a gdy raz Paweł wniósł by do „*Orła*“ dopłynąć i odwiedzić Gustawa, którego od dwóch dni nie widziano, jedna tylko Hedda projekt ten poparła. Stary płatnik zabrał z sobą do miasta ścisłe sprawozdanie o pożarze, a jutro spodziewano się przybycia urzędnika, który miał nadzór nad budowlami powiatu, i szczególniejsze pokazywał zajęcie dla stacyi sterników na Nedurze i baggerflotyli, gdyż sam przyczynił się niemało do rozwinięcia i ulepszenia tych zakładów. Pobyt tego godnego i miłego człowieka, był zawsze dla Neduru rodzajem uroczystości. Tym razem Hedda przede wszystkiem cieszyła się jego przybyciem, bo w duszy spodziewała się że radzca córkę przywiezie z sobą, którą była Olga, ukochana jej przyjaciółka.

Dziwny był stan duszy w jakim się Hedda znajdowała obecnie. Życie jéj promieniało podwójnem światłem, które mieszało ją i olśniewało zarazem. Często wśród ciszy nocy dwa głosy brzmiały w jéj uszach, a oba przemawiały słowami miłości; wśród ciemnéj nocy patrzyły na nią dwie pary oczu, a spojrzenia ich były pełne uczucia, i przed miłym obrazem przyjaciela powoli zaczynała blednąć świetna postać oddalonego kochanka. Przed światem całym Hedda była wolną! Nikt, a najmniéj odważny marynarz, który by ukochanéj czas do wyboru zostawić, dumnie w około ziemi żeglował, on najmniéj byłby w prawie uczynić jéj choćby cień wyrzutu gdyby się całą duszą nowéj miłości oddała, gdyby przyjęła to piękne bogate serce, które, wiedziała dobrze, bo i któraż z dziewcząt nie wiedziałaby tego, z dnia na dzień coraz więcéj jéj sprzyjało. Spojrzenie jéj często ze smutkiem spoczęło na przyjacielu: przecież on ją tak lubił, a ona przestawała z nim tak chętnie? Za dni parę miał ją opuścić, a któż powie gdzie takiego ptaka wędrownego szukać, gdy raz z domu lub portu w daleki świat wyleci? A ona tak nim była dumną! dumną z jego rozumu i dowcipu, oczarowana powabem jego rozmowy! Sąsiedzie przynieś mi to! Sąsiedzie podaj mi tamto! prosiła często jedynie dlatego by mieć sposobność podziwiania zręcznych jego ruchów. W uczuciu jakie w niéj wzbudzał Paweł nie było ani śladu téj gwałtownéj namiętności, którą niegdyś pokochała Gerharda; istota Pawła odzwierciadlała się jasno i łagodnie w jéj duszy, ale z zadziwieniem spostrzegła że uczucie to, nie zamieniając się w miłość z dniem każdym jednak stawało się głębsze i serdeczniejsze. Ten stan niepewności, wahania, w jakiem znajdowała się obecnie, starała się zagłuszyć usposobieniem które rzeczywistość i jéj marzenia, blizkie czy dalekie, święte czy nieświęte, mieszało się razem w grę wesołą, i sądziła się być pewną siebie, gdy Paweł tak chętnie podjął tę grę towarzyską, nie zastanowiwszy się nad tem, że natura jego tak pod każdym względem do jéj natury zbliżona, tylko potężniéj jeszcze rozwinięta lub może bogaciéj uposażona, w tym samym przypadku, do tegoż samego środka uciec się musi; bo Paweł tak namiętne kochał piękno jak Hedda swego wybranego kochała. Dla kogoś coby bezstronnie postępowanie ich śledził i przeniknąć je umiał; odgrywali oni konieczne role dwojga ludzi, którzy chcąc się ukryć przed sobą, kryją się za jedno i toż samo drzewo, lecz na nich nikt nie zważał zgoła.

Lekką chorobę synka brała Klementyna za powód, by więcéj jeszcze jak zwykle przesiadywać w swoim pokoju; pan von Elze wyjechać miał za dni ośm i już się zaczął do drogi gotować, a wiadomość ta pewną nawet przyjemność sprawiła Klementynie, gdyż czuła ona dobrze, że tak ze względu na nią jak i na niego, wyjazd ten stał się koniecznością. O zajściu swojem z panem von Elze owego wieczoru pożarnego, już nie myślała z takim jak dawniéj spokojem. Usiłowała wmówić w siebie, że w chwili wzruszenia nie pojmował nawet znaczenia słów swoich, lecz z drugiéj strony wiedziała że natury takie jak pana von Elze, niełatwo chwilowemu wrażeniu opanować się dają. Wyraźnie zatem powiedział jéj to co chciał powiedzieć, a więc rzeczywiście kochaną jest przez niego! Czy miłość która czuje dla niéj ma ona za występek uważać? Ale, czyż był powinien odkrywać jéj swoje uczucia, czy cierpieć i milczeć nie było świętym jego obowiązkiem? Lecz niedawno jeszcze utrzymywał że małżeństwo które się nie opiera na doskonałéj wzajemnéj miłości, w jego oczach małżeństwem nie jest; czyż mógłby więc uważać za święte to co świętem być nie uznaje? A miłość która ją łączy z Gustawem, czyż jest ową wzniosłą, wielką miłością, czy u boku pana von Elze nie znalazłaby tego szczęścia, za którem biedne, nędzne serce ludzkie zawsze nadaremnie tęskni? Cnotliwa kobieta rumieniła się sama przed sobą, gdy pomimowoli rozbujała wyobraźnia malowała jéj tak łatwo, tak rozkosznie, możność związku z panem von Elze, a w téj walce czystego jej ducha z fantazyą i zmysłowością, tych

sióstr bliźnięcych, których szatańskiéj potęgi po raz pierwszy doznawała, traciła dawną pewność siebie, i było do przewidzenia, że narażona na powtórną próbę, z równą obojętnością i dumą nie będzie w stanie jéj odtrącić.

Rozdział XVIII.

Radzca budowniczy przybył w towarzystwie starego płatnika, z wielkim żalem Heddy córki nie przywiózł z sobą, niespodzianie zasłabła i z łóżka, drżącą ręką, na długi list przyjaciółki odpowiedziała krótkiemi słowy przestrogi, podobnie jak Artemidorus Juliuszowi Cezarowi. Odpowiedź jéj tak brzmiała:

„Heddo! strzeż się sama siebie, czuwaj nad sobą, nie dowierzaj sobie, badaj sama siebie; Paweł nie kocha cię, a ty obraziłaś swojego Gerharda. Badaj pilnie czego pewną nie jesteś. Niedbalstwo jest drogą do złego. Oby cię strzegły potężne bogi!

Twoja Olga.

Dnia tego nowi przybyli goście, dawniejszy towarzysz i przyjaciel pana von Elze z żoną swoją, ładną, lecz trochę za otyłą damą. Byli oni właścicielami rozległych dóbr na półwyspie i do nich to należał las jodłowy i mogiły Hunnów, do których towarzystwo nasze niedawno robiło wycieczkę. Wkrótce po nich, nadpłynął lekarz z najbliższego portowego miasta, po którego już poprzedniego dnia posłano, gdyż mały Pawełek był niezdrów, a młody Rickmann nadwerężywszy ramię podczas pożaru, potrzebował pomocy lekarskiéj: doktór, był to człowiek młody jeszcze poważny, blady, cieszył się zaufaniem i sympatyą całéj okolicy.

Od jakiegoś czasu, reszta świata tak dla Pawła nie istniała, że z początku raziły go te obce twarze i głosy, zdawało się że dzisiaj wszystko zmienić się musi; wkrótce po przybyciu Radzcy, „*Orzeł*" na czele flotyli baggeru ruszył z miejsca i popłynął na przeciwną stronę Neduru, tak że w jednéj chwili najzupełniéj zmienił się widok i patrzący z okien ogrodowej sali zamiast okrętów, łodzi, żagli i masztów, widzieli tylko nieskończoność morza. W sali nakryto stół długi około którego ku wieczorowi zasiadło całe towarzystwo, gdyż goście pana von Elze zarówno byli gośćmi komendanta. Słońce zaledwo zaszło; od zachodu niebo mieniło się w szafirowe i żółte barwy, powietrze było łagodne i ciepłe, a jaskółki, bo nawet na Nedurze żyły te ładne ukochane ptaszki, po raz ostatni dnia tego świergocząc szybkim lotem dom okalały; a przez drzwi i okna otwarte wiało do pokoju ostre, świeże morskie powietrze, był to prześliczny wieczór letni. Towarzystwo zebrane w koło bogato zastawionego stołu, przedstawiało dzisiaj uroczysty i zajmujący widok.

Komendant w najświetniejszym był humorze, a blask jego twarzy jaśniejącéj radością, współzawodniczył z blaskiem mosiężnych guzików jego niebieskiego munduru. Pan von Elze był również w uniformie, w którym jego długa, nieco za szczupła postać, przedstawiała się dość korzystnie; i Paweł przywdział dziś po raz pierwszy strój wieczorowy.

Klementyna i Hedda także przybrały się strojniéj i w białych swoich sukniach tak wyglądały czarująco, że nowo przybyła, piękna, otyła pani, pomimo regularnych rysów i okrągłych ramion które chętnie pokazywała, nie mogła współzawodniczyć z niemi.

Towarzystwo całe w wesołem było usposobieniu; sypały się dowcipy, nie szczędzono żartobliwych słówek, a szczególniéj wesoło było po téj stronie stołu gdzie siedzieli starsi panowie, do których i Gustaw się przyłączył. Pan radzca był nadzwyczaj miłym dawniejszéj szkoły człowiekiem, nieskończoną swoją dobrocią i wyrozumiałość, ukrywał na służbie pozorną szorstkością, a w towarzystwie i przy butelce niewyczerpanym był w konceptach i wesołych anegdotkach, opowiadał niezrównanie myśliwskie przygody i wnosił pełne dowcipu toasty.

Hedda siedziała między Pawłem a młodym poważnym lekarzem, uczona między uczonymi, jak powiedział pan radzca; a Klementyna pomiędzy panem von Elze a jego przyjacielem, barczystym mężczyzną o rudawéj brodzie, rozwijającym obszerne swoje wiadomości o wszystkiem co do psów i koni się odnosiło. Klementyna uniknąć chciała sąsiedztwa pana von Elze, ale tak się złożyło że bez zwrócenia uwagi nie mogła miejsca swego zmienić. Podczas obiadu rozmawiał z nią naturalnie, swobodnie, a nakoniec gdy się bardzo ożywił, nikogo to nie raziło: zwykle bowiem gdy pił nieco więcéj, wpadał w podobne usposobienie. Zresztą całe grono znajdowało się w bardzo wesołych, gorączkowych humorach; a wtedy starsi panowie najczęściéj nikomu do słowa przyjść nie pozwalają, a młode pary sądzą że tak jak oni na nikogo, tak i na nich nikt nie zważa. Światła w salonie i światła na niebie świeciły oddawna, podano deser; podczas gdy Hedda bawiła się z młodym lekarzem szukaniem podwójnego migdała; Paweł dostrzegł jak służąca wręczyła list panu von Elze, który w południe jeszcze przywiózł z miasta posłaniec, lecz wśród zamętu dnia tego oddać go zapomniano. Uważył on, jak przeprosiwszy Klementynę, list ten rozpieczętował, jak na przemian bladł i czerwieniał podczas czytania, jak list ów z dziwnym uśmiechem złożył i szepnąwszy parę słów Klementynie, oddalił się spiesznie.

— Cóż się stało porucznikowi? spytała Hedda spostrzegłszy koniec téj krótkiéj sceny. Otrzymał ważne wiadomości ze stron rodzinnych„ i poszedł parę słów napisać by je módz posłać jutrzejszą ranną pocztą, odpowiedziała Klementyna.

W téj chwili powróciła służąca i coś jéj do ucha szepnęła. Heddo, gdzie jest kałamarz z gościnnego pokoju? spytała Klementyna.

— Widziałam jak dzisiaj rano sama zamykałaś go do biórka. A, prawda! rzekła Klementyna powstając, gdyż swoim zwyczajem sama chciała załatwić to, co wiedziała że zrobi lepiéj niż kto inny.

— Co za nieprzezorność! wyszepnął Paweł, gdyż uwadze jego nie uszło, że Gustaw spostrzegł odejście pana von Elze i oddalenie się Klementyny, a teraz z przymuszonym uśmiechem przysłuchiwał się żarcikom radzcy, drżącą ręką nalewał sobie wina kieliszek zwyczajem swoim dolną zagryzając wargę.

— Na miłość Boską sąsiadko wstań i zobacz co się z Klementyną dzieje! Hedda odrazu zrozumiała Pawła i powstając natychmiast odezwała się głośno: To dopiero roztargnienie! wszakże kałamarz do pokoju ojca zaniosłam; biedna Klementyna wieki go szukać będzie. Paweł wstał także i zbliżył się do drugiego końca stołu. I cóż się tam nowego stało? wesoło zapytał radzca, wy młodzi to i parę godzin nie możecie usiedzieć spokojnie. Paweł odpowiedział, że pan von Elze otrzymał list ważny na który niezwłocznie odpowiedzieć musi a obie panie poszły szukać kałamarza, który wskutek wspólnéj własności, bez śladu zaginął.

(*d. c. n.*)

Korespondencya z Niemiec.

Srebrne wesele cesarza Franciszka i cesarzowéj Elżbiety. Ogólna nędza i podwyższenie podatków w cesarstwie niemieckiem. Nowa taryfa celna. O wpływie kolei żelaznych na wyludnianie wsi. Ruch wydawniczy w Niemczech. Dzieło Scher'a o ostatniéj wojnie francuzko-niemieckiéj. „Dawne i nowe czasy" ostatnie dzieło Fryderyka von Weech. „Traktaty dyplomatyczne z czasów rewolucyi francuzkiéj" p. Hermana Hüffer. „Podróż po Oceanie spokojnym" Maksa Buchner'a. „Wrażenie z podróży na około świata" p. kapitana Freiherr. Gustawa Freytag ostatni utwór, p. n. „Les Grandidiers." Wilhelma Jensen romans historyczny p. n. „Za tron cesarski." Człowiek przedhistoryczny w krajach północnych i w Polsce. P. Starks „Archéologia sztuki." Nowy dramat pięcio aktowy Gustawa Pullitz p. n. „Rolf Berndt Sztuczka jednoaktowa Auerbacha p. n. „Szczególniejsza kobieta."

(Dalszy ciąg).

Gdy z Austryi gdzie na całym obszarze państwa taka panuje radość, tak niekłamany objawia się zapał, przeniesiemy się do Niemiec, gdzie także prawie jednocześnie przypada rocznica, już nie srebrnego, ale złotego wesela cesarskiéj pary: jakaż to sprzeczność dostrzegać się daje w ogólnem usposobieniu! Tam zapał i objawy przywiązania do tronu jakich nie widząc wyobrazić sobie trudno, tu obojętność najzupełniejsza. Nędza klas roboczych, ogólna bieda przygniatająca najliczniejsze sfery społeczne, a potrochu i obawa coraz więcéj nurtującego społeczeństwo niemieckie socyalizmu, odejmuje ochotę do kosztownych uroczystości i objawów przywiązania, budząc natomiast nieustanne skargi i niezadowolnienie.

Jak można to było przewidzieć, zbyt surowe środki ostrożności i prześladowanie socyalizmu nie odpowiedziało oczekiwaniom, zamiast wytępić, okazało się tylko jak głębokie zapuścił korzenie. Deputowany Zimmermann wykazał że w r. z. ekzegkwowano 200,000 kontrybuentów za niezapłacenie podatku od dochodu, i wszystkie prawie egzekucye naraziły tylko skarb na próżne wydatki, gdyż z dłużników nic ściągnąć nie było można. Dodajmyż do tego iż właściciele domów kazali zająć ruchomości 20,000 niewypłacalnych lokatorów, a przyzna każdy iż Berlińczycy nie mogą być bardzo usposobieni do zabaw i odniesione tryumfy wojenne nie mogą ani ich pocieszyć ani zasycić zgłodniałych.

Zamiar podwyższenia podatków nie zjedna także rządowi serc poddanych. Przejrzenie opłat celnych jest tylko pierwszym krokiem na téj drodze; niebawem ma być zaprowadzony monopol tabaczny, na wzór istniejącego we Francyi. Tacy zacięci palacze jak Niemcy nakładającego podatek na tytoń i piwo, uważają za swego śmiertelnego wroga.

Co do nowéj taryfy celnéj, kanclerz proponuje nałożyć cło wchodowe 5 do 10 pr. odnośnie do wartości, co przyniosłoby skarbowi około 70 milionów marek. Takoż prawie sumę ma zapewnić monopol tytuniowy, a Niemcy umieją rachować i rozumieją dobrze, iż o ile skarb zyska o tyle ubędzie z ich kieszeni. Obliczyli już że zamierzone powiększenie podatków, wyniesie po 20 marek na głowę. W licznych a niezamożnych rodzinach, niemały to wydatek. Podobny środek nie zapobieży nędzy dręczącéj Niemcy.

Nędza ta szczególniéj daje się uczuć w Berlinie i w wielkich miastach, gdzie coraz zwiększa się napływ ludności ze szkodą wsi, w których dziś często brakuje rąk do pracy.

Badając najdawniejsze dzieje, przekonywamy się iż ludy osiedlały się zawsze nad brzegami rzek i w miarę zwiększania się ludności, posuwały zawsze swe siedziby z biegiem rzek, aż do ujścia ich w morze i łatwo to wytłomaczyć skoro wody były jedynym środkiem transportowania choćby najwię-

kszych ciężarów. Późniéj, Rzymianie, pobudowali nadzwyczaj trwałe wielkie i szerokie drogi przecinające państwo we wszystkich kierunkach, wytwarzając tym sposobem sztuczne komunikacye nader wielkie zapewniające korzyści, co także wpłynęło przeważnie na ugrupowanie się ludności. Lecz po ostatecznym upadku cesarstwa, drogi te, nieutrzymane, uległy nareszcie zniszczeniu, i dopiéro w końcu ośmnastego i na początku dziewiętnastego stulecia, sieci kolei żelaznych wytworzyły w Europie podobnie ówczesnym rozprzestrzenione środki komunikacyi. Jak dawniéj drogi urządzone przez Rzymian i komunikacye wodą, tak dziś koleje żelazne wywierają przeważny wpływ na osiedlanie się ludności. Ameryka stawia nam przekonywające tego dowody. Pierwsi przybysze osiedlali się nad brzegami rzek lub przy ich ujściu, a gdy wielka kolej Oceanu Spokojnego, została przeprowadzoną przez niezmierzone puszcze, w celu połączenia Stanów Wschodnich z Zachodniemi, wtedy nie zważając na brak dróg wodnych; wzdłuż kolei powstały liczne miasta, w okolicach bardzo oddalonych od wszelkich rzek.

Lecz fakta te mają miejsce nie w saméj tylko Ameryce, i na starym lądzie od lat już kilku uskarżają się powszechnie na coraz większe wyludnianie wsi, na brak rąk do pracy rolnéj i przeludnianie miast z uszczerbkiem wsi.

Jest to po większéj części wynik coraz więcéj rozkrzewiających się sieci kolei żelaznych. Urzędowe niemieckie bióro statystyczne stwierdza powyższe dane w ogłoszonem sprawozdaniu „O kolejach żelaznych i obliczeniu ludności z lat ośmiu, od 1867 do 1875 r.“ Badania te statystyczne odnoszą się do 2528 miast od 2000 mieszkańców. Z tych miast w 1867 r: 867 posiadało koleje żelazne. W r. 1871 już liczba miast takich podniosła się do 1049 a w 1875 do 1270. W 1867 roku, 1661 miast nie posiadało jeszcze kolei żelaznych; w 1871 było takich 1470 a w r. 1875 już tylko 1258. I w tymże samym przeciągu czasu ludność tych miast zmniejszyła się z 5,349,951 do 4,779,992, a reszcie do 4,232,748 mieszkańców, kiedy przeciwnie, ludność miast posiadających koleje żelazne, w tymże samym przeciągu czasu, wzrosła od 8,848,142 do 12,424,425 mieszkańców.

Dokładniejsze badania wykazały, że to powiększenie ludności ma miejsce główne w wielkich i średnich miastach; ludność miasteczek mających mniéj niż 2000 ludności, choć leżących przy kolei, niewiele się powiększyła. W dwunastu wielkich miastach liczących sto i więcéj tysięcy ludności, które posiadają koleje, ludność zwiększyła się w ciągu lat kilku z 2,051,323 do 2,665,914, mieszkańców.

Od roku 1871 do 1875 tylko, cała ludność cesarstwa niemieckiego, powiększyła się o 1,658,074 mieszkańców, a w tymże czasie, ludność miast mających niemniéj jak 2000 mieszkańców, powiększyła się o 1,511,782 mieszkańców. Tak więc gdy ludność wiejska pozostała prawie jednaką, ludność miast powiększyła się znacznie, a jest to niezaprzeczenie wynikiem kolei żelaznych, ułatwiających zmianę zamieszkania.

Z początkiem b. r. ruch wydawnictwa w Niemczech bardzo był ożywiony, podamy ważniejsze dzieła, więcéj ogólnego interesu. Do takich należy świeżo wydane dziełko Jana Scherr o ostatniéj wojnie francuzko-niemieckiéj. Nie jest pisane tak urzędowo i wyczerpująco jak dzieło sztabu-głównego traktujące tenże sam przedmiot, ale daleko więcéj zajmujące, gdyż wprowadza nas za kulisy wielkiego dramatu, w którym główne role odgrywają Francya i Prussy. Autor wprowadza z kolei czytelnika do jednego lub drugiego obozu, tak przed bitwą jak po bitwie, dając mu tym sposobem sądzić o politycznych i strategicznych pobudkach akcyi.

Zapoznaje czytelników z bohaterami dramatu; przyznaje Moltke'mu poważną prawdomówność, porównywając ją z chełpliwością jenerałów francuzkich, których buletyny zawsze mówiły o zwycięztwach, pomimo klęsk ponoszonych. I rzeczywiście jest to zasadą nie samych dowódzców francuzkich, aby nigdy nie przyznawać się do przegranych, niby to dla podtrzymywania ducha ludności. Zdrowy rozsądek stanowczo potępia podobne zasady; prawda zawsze wyjdzie na wierzch, a im mniéj spodziewana, tem boleśniejsze sprawia wrażenie.

Bismarcka, Scherr stawia nader wysoko. Powiada iż gdy w Versalu, Thiers zastał wielkiego kanclerza niemieckiego pracującego przy dwóch łojowych świecach osadzonych w butelki, miał się wyrazić o nim: „Jest to dziki ale obdarzony geniuszem“ Scherr naturalnie nie zgadza się na to; dla niego Bismarck jest czemś niezrównanem. Niedość na tem: wychwala go jako człowieka „głęboko religijnego“ a na dowód przytacza list jego pisany do żony w r. 1851: „Onegdaj byłem w Wiesbaden i z uczuciem żalu i rozwagi patrzyłem na miejsce będące widownią dawnych moich szaleństw. Oby Bóg napełnił swojem czystem i pokrzepiającem winem tę beczkę w któréj fermentował wówczas szampan moich dwudziestu jeden lat, a który tyle goryczy zostawił na dnie kielicha! Iluż to z tych z którymi wtedy hulałem, piłem i grałem, już z tym rozstało się światem! Jakaż to zmiana zaszła od owego czasu w moim sposobie widzenia i zapatrywania się, ileż to rzeczy które wówczas wydawały mi się wielkie i wzniosłe, dziś uważam za marne i drobne, a natomiast to z czego szydziłem wtedy, dziś uznaję za dobre i pożyteczne. Nie pojmuję jak człowiek myślący i zastanawiający się, a nie wiedzący i nie chcący wiedzieć o Bogu, może znieść życie nie gardząc i niem i samym sobą. Dziś zrozumieć nie mogę jak ja tak żyć mogłem! Gdyby mi przyszło teraz wieść podobne życie, bez Boga, bez ciebie, bez dzieci, nie wiem czyby cokolwiek zdołało mnie powstrzymać aby je nie rzucić jak brudnéj koszuli.“

Daléj jeszcze Scherr przywodzi słowa powiedziane przez kanclerza do pana Thiers w r. 1862. „Nie dość mieć dobre pomysły, trzeba jeszcze mieć środki wprowadzenia ich w wykonanie.“ Jakoż trzymając się tego programu, kanclerz, choć w duchu konserwatysta, arystokrata i zwolennik samowładztwa, posługiwał się liberalizmem Niemców aby doprowadzić do zjednoczenia cesarstwa, Scherr podziwia ten dyplomatyczny geniusz Bismarcka i uważa go za wybrańca Opatrzności do dokonania wielkich rzeczy. Pominąwszy te uwielbienia kanclerza niemieckiego, które nie wszyscy z nim podzielają, autor podaje wiele faktów ciekawych i zajmujących, dobrze i wiernie przedstawionych.

(d. c. n.)

Nowe wydawnictwa.

Nowy zbiór powinszowań do użytku młodzieży, na dnie uroczyste, imienin, nowego roku i t. p. dla rodziców i krewnych, oraz wiersze do użytku osób dorosłych, na dzień imienin, zaślubin, do wpisywania w album, oraz przy wznoszeniu toastów. Jest to zbiorek dość zręcznie ułożony, jeżeli dla prostoty wyrażenia czasem forma zbyt zużytą się wydaje, za to w każdym wierszyku widnieje poczciwe uczucie i serdeczność słowa tak konieczna w utworkach podobnego rodzaju. Praca ta widać że życzliwe znalazła przyjęcia, bo obecnie w drugiem wyszła wydaniu znacznie powiększonem z dodaniem powinszowań napisanych prozą, których wcale nie obejmowało wydanie pierwsze.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pa: Romanii K: Oba wiersze pomieścimy w Tygodniku, to samo i Kukułeczkę w Przyjacielu, ale w wierszyku p. t. *Mała Kobieta*, zapomniano, że w miłości dla rodziców nie można pierwszeństwa ani ojcu ani matce oddawać. Trudy ich w wychowaniu dzieci są równe, przywiązanie jednakowe, oboje równie pragną aby przez dzieci byli kochani, zalecanie więc miłości tak dla matki jak i dla ojca powinno być jednej mocy. Jesteśmy pewni że Autorka zgodzi się na tę zasadę.

Panu D. w Sieradzu. Jakkolwiek Tygodnik, nie jest w Redakcyi prenemerowany, że jednak adres został nadesłany, początek powieści przesłano natychmiast. Co do artykułu, to prosimy o doniesienie, czy to był wiersz czy też prozą napisany i dla którego pisma przeznaczony. Jeżeli dla Tygodnika, to odpowiedź była dana w roku zeszłym z pewnością, a zatem w czasie kiedy nie był prenumerowany.

Pani Waleryi T. w Tarasówce. Numera powtórnie wysłano oraz i Tygodnika rolniczego. Z jednego numeru trudno o jego wartości osądzić, możemy tylko zaręczyć, że staramy się zrobić go jak najpraktyczniejszym i mamy przykonanie iż pomału uznanie uzyska i znajdzie się w ręku każdego gospodarza pragnącego z rad i doświadczeń innych korzystać. Adres żądany przesyłamy: pani Buffle przełożona szkoły rzemieślniczej we Włocławku.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 15 Мая 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 22, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Nie blaguj Terry, nie masz do tego odpowiednich zdolności. Kto jest ta dama której towarzyszysz? Najpiękniejsza ze wszystkich tu obecnych.

— Ta dama, odpowiedział po namyśle Terry, gładząc długą swą brodę, to lady Dynely. Gdzież zagubiliście wasze oczy, że jéj poznać nie możecie?

— Dajże pokój tym żartom. Kto jest ta młoda panienka?

— W żółtych różach i czarnych koronkach, istny obraz Tyciana, odezwał się inny.

— Kto to taki? powiedz Terry, wołali wszyscy.

A! rzekł Terry, patrząc na nich swemi jasnemi oczyma z miną niewiniątka, więc to o nią się pytacie? Ta młoda osoba, jest to Fanny Forrester.

— Ale co to za jedna, Terry? powiedz nam o niéj coś więcéj jeszcze. Zjawiła się tu po raz pierwszy, i jest najpiękniejszą debiutantką w tym sezonie. Odkryj nam otaczającą ją tajemnicę, i zaspokój trawiącą nas ciekawość.

— Nie ma w niej nic tajemniczego, odpowiedział Terry. Ta młoda panienka, jak to już mówiłem, nazywa się Fanny Forrester, jest jedyną córką i spadkobierczynią zmarłego jenerała Forrester, dalekiego krewnego lady Dynely, a zarazem przybraną córką i spadkobierczynią pani Caryll, z Carylyne. Otóż i wszystko.

— Mówi jak wyrocznia. I cóż daléj.

— Nic prawie. Matka jéj Francuzka z Kanady po któréj odziedziczyła płeć cyganki i śliczne oczy, pozostawiła ją sierotą w szóstem roku życia. Ojciec umieścił ją w klasztorze w Montreal, gdzie pozostała do lat piętnastu, to jest aż do śmierci jenerała Forrester, który pozostawił jéj znaczny majątek, a na opiekunkę jéj wyznaczył panią Caryll, Działo się to trzy lata temu, jeżeli więc wasza ograniczona znajomość arytmetyki pozwoli wam dodać trzy do piętnastu, otrzymacie summę przedstawiającą wiek panny Forrester. Pani Caryll tak wtenczas jak obecnie mieszkająca w Rzymie, sprowadziła swoją pupilkę do Wiecznego miasta. Panna Forrester bawiła przy niéj ciągle, i dopiero od dwóch miesięcy bawi przy lady Dynely. Zechcijcie szanowni moi przyjaciele, nie zadawać mi więcéj pytań, dodał Terry ocierając pot z czoła, strasznie tu gorąco, a ja nie mam zwyczaju mówić wiele.

Demison odszedł po tych słowach, a młodzi ludzie przyglądali się znów ciekawie pięknéj, Kanadyjsko-rzymskiéj dziedziczce.

„Szczerze mówiąc, odezwał się jeden z nich, już od trzech lat nie zdarzyło się nam widzieć nic podobnego. Panna Forrester ze swoją pięknością, królewską postawą i dwoma znacznemi fortunami, w dodatku do długiego szeregu przodków, bo rodzina Forrester'ów należy do najdawniejszych w kraju, musi zrobić przy końcu sezonu bardzo świetną partyę.

— Ha! nie koniecznie, odpowiedział drugi. Los miewa także swoje kaprysy. Przyszła spadkobierczyni pani Caryll!... Hm! słuchajno Castlemaine, ty musisz wiedzieć coś o tem... Zdaje mi się że tam był syn?..

— Gordon Caryll... bardzo zacny chłopiec... byliśmy razem w Oxfordzie, odpowiedział Castlemaine. Był późniéj w wojsku... stara to już historya... szesnaście lat temu... dawno już zagrzebana w pamięci.

— Więc umarł?

— Tego nie wiem... ale wyjdzie to na jedno. Zawarł strasznie niestosowne, skandaliczne małżeństwo w Kanadzie... po tem nastąpił równie skandaliczny rozwód... następnie przeszedł do pułku udającego się do Indyi... a w końcu zginął bez wieści. *Sic transit*... Taki los czeka nas wszystkich... Smutna to rzecz, dodał powstrzymując poziewanie. Nie mówmy już lepiéj o tem.

Odeszli, a ich miejsce zajęli inni; wszyscy bez wyjątku młodzi ludzie dążyli w tę stronę chcąc przyjrzéć się téj nieznanéj i prawdziwie imponującéj piękności. Stała ciągle obok lady Dynely, tam gdzie je pozostawił. Dennison, przed obrazem który w tym roku otrzymał nagrodę. Było to dzieło nieznanego jeszcze artysty, a w katalogu było zapisano: N er 556 *Zmrok*.

Krajobraz stanowiący tło obrazu przedstawiał jakieś nieznane okolice. W głębi wysokie i ponure wzgorza uwieńczone sosnami których wierzchołki sięgały pod obłoki, kępy cedrów, tamaryndy i wrzosy odmalowane z zadziwiającą wiernością przysłaniały stoki pagórków. Szeroka rzeka w któréj wodach odbijają się ostatnie promienie zachodzącego słońca, a po nad wzgórzami i wierzchołkami sosen zawisły już cienie nocy. Nad brzegiem rzeki stoją dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Zachodzące słońce dozwala jeszcze widzieć wyraźnie twarz kobiety bardzo piękną ale posępną i bladą, a zarazem wyrażającą straszną boleść. Jéj czarne i dzikie oczy patrzą namiętnie i rozpaczliwie na stojącego przed nią mężczyznę, do którego wyciąga błagalnie ręce. On patrzy na nią, nakazując jéj ruchem ręki aby nie zbliżała się do niego. Twarz jego do połowy zakryta, zdradzała pomimo to wyraz nieubłaganéj nienawiści. Łatwo było domyśléć się że serce jego wydało wyrok nieodwołalnego potępienia na tę kobietę. Noc zaczyna już rozpościerać cienie po nad nimi i po nad całą okolicą.

Obiedwie panie długo w milczeniu przyglądały się obrazowi. Na t arzy lady Dynely malowało się jakieś znużenie; panna Forrester nie starała się wcale ukryć swego zachwycenia. Nie nawykła jeszcze do przepisów życia światowego, i jeżeli jéj wzrok, słuch lub serce dozna jakiegoś miłego wrażenia, można to zaraz wyczytać z twarzy.

„Jakże to piękna! rzekła cicho, napróżno szukałby kto coś równie pięknego. Jak potężną sprzeczność sprawia to światło padające na twarz kobiety i łamiące się w falach rzeki, z tą ciemnością która zdaje się wzrastać w naszych oczach za temi wzgórzami. Te drzewa to tamaryndy... Może ta scena odbywa się w Kanadzie... Zajrzała do katalogu i przeczytała: *Zmrok*. Lady Dynely, wszystko mi się zdaje że znam twórcę tego obrazu.

— Moja droga Fanny, jakże się on nazywa?

— Lacksley... jakieś dotąd nieznane nazwisko. Muszę go znać z pewnością. W Rzymie pani Caryll przyjmuje u siebie wszystkich artystów, nie wyłączając poczynających, i jest uważaną za protektorkę sztuk pięknych... Ten obraz zdradza genialne zdolności.

— Zapewnie pani Caryll dla tego została protektorką poczynających artystów, że syn jéj poświęcał się także malarstwu, i nawet przed wstąpieniem do wojska dość długo przebywał w Rzymie i kształcił się w téj sztuce.

— Jéj syn, powtórzyła panna Forrester, Gordon Caryll. Mówiła o nim bardzo często... Jakaż to wzruszająca scena! dodała zwracając znów oczy na obraz. Wyraz boleści i rozpaczy tak widoczny w pięknéj twarzy téj kobiety sprawia na mnie jakieś dziwne wrażenie; trudno mi oderwać od niéj oczu. Radabym bardzo wiedziéć czy artysta malował ten obraz z natury.

— Moja droga Fanny, podobne sceny bywają zwykle płodem wyobraźni artystów, lub też czerpane z romansów.

— Sądzę że niekoniocznie. Dzisiejsi poeci, romansopisarze i artyści, lubią przedstawiać dramatyczne sceny ze swego własnego życia, rzekła panna Forrester. Malują doznane przez siebie nieszczęścia, opisują je hexametrami lub prozą, a następnie spieniężają. Podobnie jak lord Byron, jeżeli płaczą w życiu prywatnem, to ocierają sobie oczy kosztem publiczności.

— Moje drogie dziecię rzekła lady Dynely, z pewnym przestrachem, z kądże ci się wzięła podobna mizantropia w tak młodym wieku?

Fanny roześmiała się.

— Jestem dopiero debiutantką, odpowiedziała wesoło, zaledwie stawiam pierwszy krok na scenie życia, ale za kulisami wiele już widziałam rzeczy... Otóż Terry wraca już do nas, a jeżeli tylko twórca tego obrazu pan Locksley znajduje się tu obecnie, on go tu przyprowadzi i przedstawi nam z pewnością.

— Ale, droga Fanny!...

Panna Forrester zaśmiała się znowu, ale śmiech jéj był dźwięczny i cichy. Nie była wcale podobną do większéj części młodych angielek, i rzeczywiście nie była angielką. Odziedziczyła po matce nie tylko śniadą płeć i czarne oczy, ale także krew i żywość Francuzki, z dodatkiem szczerości i niezależności Amerykanek. Z temi przymiotami i doświadczeniem nabytem w Rzymie, musiały się także wyrodzić w jéj obejściu różne sprzeczności które budzą zadziwienie i pociągają ku niéj.

„Wszak jeszcze w Rzymie uprzedziłam cię lady Dynely, powiedziała Fanny, że podejmując się nademną opieki narażasz się na męczeństwo. Słuchałam zawsze prawie własnéj swéj woli odkąd żyję na świecie, i mam szczerą intencyę czynić tak i nadal o ile to będzie w méj mocy. Przez całe trzy lata żyłam ciągle otoczona atmosferą artystyczną; długowłosi członkowie bractwa pędzla byli towarzyszami

zabaw mego młodocianego wieku, i moimi przyjaciołmi od serca.

Widząc że te jéj słowa wywołały wyraz przestrachu na twarz lady Dynely, Fanny roześmiała się najszczerszym, najweselszym i najwdzięczniejszym śmiechem jaki kiedykolwiek zawitał na jéj ustach.

„Radbym dowiedzieć się co mogło dać powód do twéj wesołości, panno Forrester? odezwał się nadchodzący właśnie Demison. Doprawdy, ani w groźnéj i ponuréj postawie tego mężczyzny, ani też w téj kobiecie tak ciężko strapionéj, nie mogę dojrzéć nic pobudzającego do śmiechu.

— Terry, zapytała Fanny, czy znasz pana Locksley?

— Panno Forrester, mogę i lubię się tem pochlubić że znam wszystkich. Tak, znam Locksley'a, a na dowód tego mogę ci go pokazać, bo właśnie jest w téj sali. Patrz to on właśnie rozmawia z sir Hugonem Lankraik. Ten oto, bardzo piękny i bardzo wysokiego wzrostu mężczyzna. Nosi krótko ostrzyżone włosy i nie wygląda na malarza, podobniejszy już do dragona lub czegoś tem podobnego. Czy widzisz go?

— Tak, odpowiedziała Fanny.

Widziała rzeczywiście bardzo wysokiego i pięknego mężczyznę z blond włosami i długą brodą tegoż samego koloru, z cerą białą ale opaloną trochę, z siwemi oczyma o pełnem powagi spojrzeniu, w którego twarzy przebijał się jakiś smutek czy zniechęcenie. Był to trzydziesto-kilkoletni mężczyzna; twarz jego nie odznaczała się nadzwyczajną pięknością rysów, ale należała do tych które podobają się kobietom.

„Wszakże nie szpetny? zapytał Terry.

Dennison należał do téj licznéj klassy ludzi którzy przyjęli sobie za dewizę: *nil admirari* i dla których wyrażenie: nieszpetny lub dość przystojny, stanowi *summum*, podziwu piękności ludzkiéj.

„Kobiety zachwycają się nim, mówił daléj Dennison, ale on ich unika i nie lubi. Daję na to słowo że dzięki swemu obrazowi, mógłby stać się w tym sezonie ulubieńcem dam, ale wiem że nie zechce. Żyje tylko dla swéj sztuki... Jest to bardzo zacny człowiek, ale nie dba zupełnie o kobiety.

— Jest to nader zajmujący nieprzyjaciel kobiet. Proszę cię, Terry, przyprowadź go tu i przedstaw nam.

— Ależ Fanny!

— Czy masz słuch tępy, panie Dennison? Powiedziałam ci już abyś przyprowadził go do nas.

— Zlituj się Fanny, cóż ci ten człowiek zawinił? Nie lubi płci pięknéj i jest szczęśliwy. Nie naruszaj jego spokojności. Wiem jak nielitościwie obchodziłaś się z temi nieszczęśliwemi malarzami w Rzymie, nie czyńże tego przynajmniéj w Londynie. Zechciéj mi wierzyć, lady Dynely, że postanowiła sobie za krwawić serca wszystkich młodych artystów w Wiecznem Mieście, a teraz chciałaby jeszcze zamieścić na liście męczenników biednego Locksley'a, pomimo że jéj nigdy nawet wody nie zamącił.

— Mój malutki Terry, zamiast mówić tak wiele, przyprowadź tu pana Locksley.

Fanny przyłożyła do oczu oprawną w złoto lornetkę. Pełne blasku źrenice panny Forrester są obdarzone wybornym wzrokiem, i nosi tylko lornetkę jak rycerz swą szpadę. Jeżeli chce kogoś przywieść do posłuszeństwa, przykłada lornetkę do czarnych oczu, patrzy tak czas jakiś na swoją ofiarę, i otrzymuje zwycięztwo nie wymówiwszy nawet jednego słowa. Dennison wie o tem i zamierzał uciec.

„Obraz pana Locksley'a podobał mi się, i życzę sobie poznać pana Lockslеy'a, który właśnie przestał mówić z lordem Hugonem. Lady Dynely zachwycona jego obrazem, i zaszczyca go życzeniem aby jéj został przedstawionym. Czy rozumiesz to malutki Terry?

Terry przybrał postawę żołnierza odbierającego rozkazy oficera, i oczy jego, z wysokości sześciu stóp, spoglądały z pociesznie potulną miną na samowolnego i ślicznego zwierzchnika, poczem oddalił się z uśmiechem na ustach aby spełnić rozkaz Fanny.

„Królowa tak chce, rzekł; ale niestety! biedny Yorick! Nie zrobił mi nigdy nic złego. Locksley nie Yorick. Boleśnie mi bardzo, że mnie wybrano, jak gdybym był jego wrogiem, abym doprowadził go do zguby.

Zbliżył się do malarza i uderzył go przyjaźnie po ramieniu.

„Jeżeli nie jesteś dotąd przesycony pochwałami i powinszowaniami, panie Locksley, to pozwól abym dołączył do nich moje. Nie ma na całéj wystawie żadnego obrazu któryby można porównać z twoim. Lady Dynely jest nim prawdziwie zachwycona, już najmniéj pół godziny stoi przed nim. Życzy sobie poznać cię, może pozwolisz abym cię jéj przedstawił?

— Lady Dynely?...

Locksley wahał się czas jakiś i zaczął szukać oczyma jéj wysokości, zdawało się że nie ma ochoty zgodzić się na propozycyę Dennison'a.

— Nie odmawiaj mi, drogi przyjacielu, zawołał zatrwożony Terry. Wiem że spoglądasz na nie wszystkie z pewną pogardą; ale wierz mi że zrobisz nam tem prawdziwą przyjemność. Sztuki piękne i artyści całkiem jéj, lady Dynely, ma się rozumiéć, zawróciły głowę. Nie słyszałem jeszcze aby ktoś do tego stopnia unosił się nad obrazem.

— Lady Dynely czyni mi zbyt wiele zaszczytu, odpowiedział Locksley z poważnym uśmiechem.

Dennison podał mu rękę i poprowadził z miną tryumfującą.

„Zechciéj przwolić, lady Dynely, abym ci przedstawił artystę którego obraz tak cię zachwycił, pan Locksley... panie Locksley, panna Forrester!

Ukłoniły mu się uprzejmie, i lady Dynely rzekła:

— Jest to prawdziwa perła tegorocznéj wystawy, ale pana Locksley musiały już znudzić te ciągłe pochwały.

— Pochwały nie znudzą nigdy artysty, odpowiedział z uśmiechem Locksley, szczere czy fałszywe, są zawsze słodkie dla ucha.

— I niebezpieczne jak wszelkie słodycze, dodała Fanny, dla tego też oszczędzimy ich panu. Ale postać téj kobiety zachwycająca, zachwycająca! Gdzie pan znalazłeś podobny model, panie Locksley?

— Tak osoby jak i krajobraz są malowane z pamięci, odpowiedział Lockley poważnie.

Jak tylko wymówił pierwsze słowa, lady Dynely zadrżała, i badawczo spojrzała mu w oczy. Kogo przypominały jéj te rysy i ten dźwięk głosu? Ta twarz opalona i długą ocieniona brodą nie była podobną do żadnéj z tych które widywała, a jednak...

Rozmawiał spokojnie z Fanny, gdy ona tymczasem przyglądała mu się zamyślona, usiłując przypomnieć sobie czy go już nie widziała dawniéj.

„Jakże czas szybko biegnie! zawołał Terry patrząc na zegarek. Już piąta dochodzi, lady Dynely, a mamy jeszcze być na wystawie kwiatów w Chiswick.

— Rzeczywiście spóźniemy się trochę. Chodźmy już Fanny. Panie Locksley, winszuję panu raz jeszcze odniesionego zwycięztwa. Jestem pewna że obraz ten jest zwiastunem dzieł innych wyższéj jeszcze wartości. Mam u siebie kilka obrazów zasługujących na widzenie, może zechcesz je pan zobaczyć. Przyjmuję u siebie przyjaciół moich w każdą środę wieczorem.

Podała mu swój bilet, i odeszła z Demison'em. Fanny pożegnała go kilku uprzejmemi słowami, miłym uśmiechem, swobodnym ukłonem, i połączyła się ze swem towarzystwem.

„Jak też milady przyglądała się uważnie panu Locksley, rzekła Fanny wsiadając do powozu. Czy milady widziała go już dawniéj.

— Nie, jstem pewną że nie spotkałam się jeszcze nigdy z panem Locksley, odpowiedziała lady Dynely: Są to rysy których nie łatwo zapomniéć. Jest to uderzająca fizyognomia.

— Tak, jest odznaczająca się postać, odpowiedziała żywo Fanny. Może przypomina kogoś milady?...

— Tak odpowiedziała po chwili. Kogoś który prawdopodobnie umarł już dawno na wygnaniu. Kiedy się odezwał pierwszy raz, zdawało mi się koniecznie że słyszę głos Gordona Caryll.

Rozdział II.

Terry.

W jednym z okien pyszenego swego apartamentu siedziała Lucya lady Dynely, pogrążona w przykrych i smutnych myślach. Na pięknem jéj czole zarysowały się zmarszczki drobne jéj usta są silnie zaciśnięte, a blado niebieskie oczy wyrażają jakiś niepokój.

Było to w środę wieczorem: ubrała się wcześnie aby być gotową na przyjęcie swych gości, i jest podobną do portretu jakiejś patrycyuszki; ale zacisnęła drobne ręce jakby zostawała pod wpływem jakiejś dojmującéj boleści fizycznéj lub moralnéj. Dość spojrzéć na nią aby widzieć że cierpi.

Piękny dzień majowy już jest ku schyłkowi, wkrótce zacznie się zmierzchać. Niebo wypogodzone; wązki sierp księżyca ukazał się po nad dachami, a na błękitnem tle obłoków błyszczą już gdzieniegdzie gwiazdy.

Lekko srebrzysta mgła unosi się na ulicach, a atmosfera Londynu zwykle tak posępna, dziś jest przejrzysta, i smutna wspaniałość pałaców na West-End teraz wydaje się weselszą.

Lady Dynely znajduje się w swym sypialnym pokoju, urządzonym tak pięknie i zbytkownie jak na to pozwala jéj gust wykształcony i majątek.

W pokoju tym znajduje się jeden tylko portret; widać że przedstawia rysy tak drogie jéj sercu, że żaden inny nie mógł znaleźć miejsca obok niego. Jest to portret Eryka-Aleksego-Alberta lorda wicehrabiego Dynely, dwódziestego pierwszego barona Camperdown.

Oczy pomimowolnie zatrzymywały się na téj twarzy; należała ona do tych które zawsze i wszędzie muszą zwrócić uwagę każdego, choćby jedynie pięknością swych rysów.

Albo malarz pochlebił bardzo oryginałowi, lub też Eryk, wicehrabia Dynely był niezwykle pięknym chłopcem. Twarz jest bardzo piękna, pięknością kobiecą, zapowiadającą pewną zniewieściałość. Naturalnie wijące się włosy mają czysty złotawy blond kolor, wielkie szafirowe oczy posiadają głębokie spojrzenie, wozystkie rysy są klasycznie piękne, usta uśmiechnięte, świeże, wdzięczne, jak usta młodéj dziewczyny.

Portret ten zajmujący honorowe miejsce w pokoju lady Dynely, jest ostatnim przedmiotem na którym zatrzymują się wieczorem oczy lady Dynely, i pierwszym który witają rano po przebudzeniu. Można

śmiało powiedzieć, że to jej bożyszcze, cała jéj nadzieja, życie jéj życia. Nie ma go teraz przy niéj, podróżuje już od roku, ale codzień spodziewają się jego powrotu. Dochodzi do pełnoletności w sierpniu, i ten dzień ma być obchodzony z wielką okazałością w Dynely, prócz balów i innych zabaw, będą piec całe woły dla ludności miejscowéj i wystawią niezliczoną ilość beczek piwa.

Wszakże obecnie, milady nie myśli o swym synu, o swym bożyszczu.

Bezwątpienia, wszystkie odnoszące się do niego marzenia muszą być świetne i przyjemne? Wszak zbliża się dzień jego pełnoletności? Wszak ma zaślubić tę którą kocha, Fanny Forrester, i żyć następnie szczęśliwie? A myśli niepokojące milady w téj chwili, nie są ani przyjemne ani świetne.

Przez całe swoje życie lady Dyneli miała charakter słaby, lękliwy, była dobra, łagodna, miłosierna, ale nie posiadała żadnéj energii. Syn odziedziczył tę jéj wadę, jak można łatwo poznać, badając wyraz téj pięknéj twarzy na portrecie.

Obecnie przedmiotem myśli milady jest artysta którego poznała wczoraj w Akademii Królewskiéj. Jakże te głębokie jego i smętne oczy podobne do innych oczu już prawdopodobnie zgasłych na zawsze, jak do nich podobne, a przecie odmienne! Co za dziwne podobieństwo w tym głosie pomimo że przebija się w nim jakaś powaga granicząca z surowością, któréj nie było w tamtym! Szczególna rzecz! ten malarz odrzuca nawet takim samym ruchem jak Gordon Caryll gęste swe włosy skoro mu spadną na czoło. Było to dziwne, prawie bolesne dla niéj podobieństwo, a jednak usposobiło ją korzystnie dla Locksley'a, tak korzystnie że z pewną niespokojnością myślała o tem czy też przyjdzie do niéj dziś wieczorem.

Gordon Caryll! Przypomniał jéj się ten wieczór w którym widziała go po raz ostatni. Zdawało się jéj że widzi jeszcze ten wielki staw, to srebrzyste światło księżyca igrające po nim, i wysoką postać kuzyna rzucającą cień na zieloną murawę; zdaje się jéj że widzi siebie samą jak blada, drżąca i wsparta na jego ramieniu, słucha strasznego opisu jego szalonéj namiętności, i haniebnego oszustwa jego żony. Zdaje się jéj że czuje jeszcze jak dłoń Gordona ściska jéj rękę, a w uszach jéj dźwięczą znów słowa które wyrzekł przy rozstaniu.

,,Wyrzekam się wszystkiego, nawet własnego nazwiska, pozostawię go tu jak i wszystko zresztą, gdy w przyszłym tygodniu odpłynę do Indyi.

Odjechał... i tam daleko, bardzo daleko, pod ognistem niebem Indyi, ten najukochańszy z jéj kuzynów, śpi teraz zapewne przysypany ziemią.

,,Biedny Gordon! wyszeptała z westchnieniem.

Nagle inny obraz przedstawia się w jéj pamięci. Téjże saméj nocy wezwano ją do łoża konającego męża; i znów staje jéj przed oczyma słabo oświetlony pokój w oberży, i ten człowiek raniony śmiertelnie, i własna jéj postać jak klęcząc przy nim słuchała ostatnich słów jego. Słów tak strasznych, że na samo o nich wspomnienie zimny dreszcz przebiega wszystkie jéj członki. Ta okropna noc całe jéj życie zaprawiła goryczą.

W umyśle jéj snuje się daléj ciężko, boleśnie, wątek dalszych wspomnień. Przed oczyma jéj przesuwa się znów wspaniały i smutny obchód pogrzebu, odkryte i pochylone głowy osób składających orszak pogrzebowy, ona sama drżąca i blada w swym wdowim ubiorze, ale bez jednéj łzy w oku, i mały jéj synek idący obok niéj. Miał na sobie ubranie z czarnego aksamitu, ale bez najmniejszego kawałka krepy; wszyscy dziwili się temu, ale taka była wola matki. Ona to zerwała ze złością prawie krepę z jego ramienia, i przyciskając go do piersi z krzykiem dzikim i namiętnym, zawołała:

„O mój Eryku!. . mój synu!... moje biedne dziecię!...

Złożono zwłoki właściciela Opactwa Dynely w grobach pod kościołem Roxhawen, gdzie spoczywa już tak długi szereg jego przodków. Trumnę jego pokrył wspaniały i kosztowny nadgrobek, z napisem wysławiającym szumnie jego cnoty, jako człowieka urzędnika, małżonka i ojca, a zakończony słowami: Przeżyją go jego czyny. I zadawała sobie pytanie, czy słowa te były wyrazem gorzkiego szyderstwa, lub też zawierały groźną przepowiednię?

We wspomnieniach lady Dynely następuje przerwa obejmująca kilka miesięcy, które przepędziła samotnie w olśniewających zbytkiem salonach Opactwa, blada i spokojna, nie płacząc i nie użalając się nigdy, ale upadająca pod ciężarem tajonego udręczenia. Zdrowie jéj ucierpiało na tem bardzo; na wiosnę zdawała się być tylko cieniem siebie saméj. Domowy doktór potrząsał głową i przepisał jak najśpieszniejszą zmianę powietrza; pobyt we Włoszech, lub w południowéj Francyi; klimat łagodniejszy, wesołe towarzystwo... Zrazu odmówiła, nie chciała słuchać o tem, ale potem nagle zmieniła zdanie; zostawiła małego Eryka pod opieką bony, i starego intendenta domu, a sama udała się w podróż. Nie udała się jednak ani do Włoch ani do Francyi, tylko, z wielkiem niezadowolnieniem swéj panny służącéj, pojechała do Irlandyi; do téj najdzikszéj na kuli ziemskiéj krainy, i wybrała jeszcze najdzikszą okolicę całéj Irlandyi, to jest Galway.

Że miała jakiś cel, o tem nie wątpiła Hortensya, jéj panna służąca; a ten cel musiał być dla niéj bardzo ważnym skoro zdołał przywołać lekki rumieniec na jéj blade lica, wrócić trochę życia jéj przygasłem oczom, trochę energii jéj omdlewającym ruchom. Stanąwszy na bagnistem wybrzeżu Galway, oświadczyła że stanęła już u kresu podróży.

Tegoż samego dnia jeszcze, wyszła sama jedna z domu i udała się do najbliższéj wioski rybackiéj. Wypytawszy się pierwéj o drogę weszła do chaty rybaka nazwiskiem Mickey Gannon, gdzie zjawiła się w pośród ich brudnéj nędzy, jakby jakieś zjawisko z innego świata. Weszła tam pod bardzo prawdopodobnym pozorem.

Deszcz zaczął padać i zmoczył jéj okrycie podszyte futrem. Czy nie mogłaby znaleźć schronienia na kilka minut, dopóki się nie wypogodzi? Przyjechała w te strony chcąc zwiedzić te okolice, dodała jakby dla usprawiedliwienia swojéj u nich bytności.

Przyjęto ją z tą serdeczną gościnnością z któréj słyną Irlandczycy, a objawiającą się w ich dewizie narodowéj: *Caed mille failthe.* Posadzono ją na najwygodniejszem miejscu przy ogniu, i wszyscy stojąc zdaleka przyglądali się w milczeniu i z uszanowaniem, téj pięknéj i bladéj damie angielskiéj.

W chacie roił się najmniéj tuzin dzieci. Lady Dynely wpatrywała się kolejno z widocznym niepokojem w ich twarzyczki, aż nakoniec zatrzymała wzrok stanowczo na jednéj z nich.

Był to siedmioletni chłopiec, odziany w gorsze jeszcze niż inni łachmany, z rudemi i nastroszonemi włosami, który przyglądał jéj się szeroko otwartemi niebieskiemi oczyma, już z natury wielkiemi i okrągłemi jak księżyc w pełni.

„Czy to wszystko wasze dzieci? zapytała rybaczki.

Kobieta spojrzała tylko na nią; nie mogła odpowiedzieć nie znając zupełnie języka Sassenachów, jak w Irlandyi nazywają Anglików.

Trzeba przywołać Brygidy, powiedział rybak, ona umie pięknie mówić po angielsku.

Zawołano Brygidy; była to wysoka i pięknie zbudowana dziewczyna, z białą cerą i silnym rumieńcem na twarzy, z siwemi oczyma, z kruczym włosem, i melodyjnym głosem, słowem prawdziwa syrena zachodniéj Irlandyi.

Zbliżyła się, ukłoniła się nieśmiało, i stała w milczeniu, oczekując na zapytanie.

,,Powiedz mi moja panno, odezwała się milady, czy wszystkie te dzieci są twoimi braćmi i siostrami?

— Wszystkie, proszę waszéj cześci, z wyjątkiem jednego tylko; tego chłopczyka z rudemi włosami co tam stoi w kącie. Jest to syn mojéj siostry, dodała ciszéj.

— Masz więc także zamężną już siostrę? rzekła lady Dynely.

— Miałam, ale już umarła. Panie bądź miłościw jéj duszy, i biedny Terry jest sierotą już oddawna.

— Sierotą! powtórzyła milady, przyglądając się ciągle uważnie chłopcu, który onieśmielony tem jeszcze więcéj, włożył palec w usta i obrócił zabrudzoną twarzyczkę do muru. Jak to musi być ciężko dla twego ojca że mając tyle dzieci, musi jeszcze żywić i odziewać wnuka. Czy... lady Dynely zatrzymała się chwilę, a na bladą jéj twarz wystąpił lekki rumieniec, czy ojciec tego chłopczyka nie żyje także?

Brygida wstrząsnęła głową a pyszne jéj siwe oczy zabłysły gniewem.

— Nie wiem tego, i przyznam się waszéj cześci że mnie to całkiem nie obchodzi. O! był to nieszczęśliwy dzień dla nas, w którym ten niegodziwiec bez serca przestąpił próg naszéj chaty.

— Ale... wyjąkała, przecie nie zawiódł ufności twojéj siostry?

Brygida spojrzała na nią i z pewną dumą wyprostowała swą piękną kibić, któréj dozwolono zawsze rozwijać się swobodnie.

— Czy nie zawiódł?... Był jéj mężem, jeżeli o to wasza cześć się pyta. . Sam ojciec O'Gorman dawał im ślub w parafialnym kościele. O! *faith* nie byłby poważył się wystąpić tu z żadnemi żądaniami nad prośbę o przyjęcie obrączki ślubnéj. Był to Anglik... niech go dosięgnie kara Boża gdziekolwiek się obróci... Przybył tu pewnego lata dla rybołówstwa, i raz wieczorem spotkał Maureen kiedy wracała z jarmarku. A jakież to nieszczęście że zwrócił na nią oczy! *Wirra* od tego dnia chodził ciągle za nią jak jéj cień własny.

— Czy twoja siostra była piękna? zapytała lady Dynely, słuchając z zajęciem jéj opowiadania.

— Tak, była najpiękniejszą dziewczyną w Galway, a jest tu nie mało pięknych. Ale też chodził wszędzie za nią, rano, w południe, wieczorem, i nie dał jéj ani na chwilę spokojności dopóki nie zgodziła się zostać jego żoną. Wtenczas udali się do ojca O'Gorman i ten ich połączył.

— A potem?

— Potem zawiózł ją gdzieś daleko, i więcéj jak rok nie słyszeliśmy ani słowa tak o niéj jak o nim... biedna Marreen nie umiała ani czytać ani pisać... Nareszcie pewnego dnia wróciła tu biedaczka z dziecięciem na ręku, był to właśnie Terry, ale ani wtenczas, ani do dzisiejszego dnia nie widzieliśmy już jéj męża, tego wymuskanego anglika; niech go niebo ukarze!

— Więc ją porzucił?

— Tak, porzucił. Czegóż lepszego można się było po nim spodziewać? Piękny i elegancki pa-

nicz, nieczuły jak skała, a bogaty jak lord, a ona nie posiadająca nic prócz pięknéj twarzy i błękitnych oczu.

— Lord, powiedziałaś? rzekła lady Dynely. Nie był zapewnie...

— Nie wiem, czym on był, odpowiedziała zimno Brygida, równie jak Maureen nie wiedziała o tem. Mówił że się nazywa Dennison, i wziął ślub pod tem nazwiskiem. Kto jednak wie czy było prawdziwe?... Tam gdzie szło o kłamstwo, sam szatan musiałby mu ustąpić pierwszeństwa. Ojciec O'Gorman przestrzegał ją o tem, ale nie chciała wierzyć. W sześć miesięcy po swoim tu powrocie skonała modląc się za niego, za tego niegodziwca i przyciskając dziecię do piersi.

— I dziecko pozostało już przy was? Ładny chłopczyk. Chodźże tu do mnie mały, dam ci szylinga.

Chłopiec przestraszony tem wezwaniem, zaczął drżyć z bojaźni w swoim kąciku i silniéj jeszcze przycisnął twarz do ściany.

— *Arrach!* chodźże tu Terry... chodźże malcze do pani, zawołała Brygida zachęcającym głosem.

Widząc jednak że to nie sprawia na nim żadnego wrażenia, dała mu porządnego klapsa i przyciągnęła do komina.

— Brudny jak prosię, powiedziała Brygida, i nie zminęła się bynajmniéj z prawdą; ale cóż na to poradzić, kiedy od rana do wieczora tarza się ze świnką pod łóżkiem.

Lady Dynely uśmiechnęła się pomimowolnie. Twarz Terrego była rzeczywiście pomalowana brudem w różne arabeski. Trzymała w ręku garstkę drobnéj monety srebrnéj, na którą Terry chciwie spoglądał.

— Czy zgodzilibyście się na to aby powierzyć komuś to dziecko? zapytała po chwili milczenia.

Brygida patrzyła na nią z głębokiem zadziwieniem.

— Wzięłabym go na wychowanie dodała milady rumieniąc się mocno. Znałam... ojca tego chłopczyka... mówił mi o nim i polecił abym się nim opiekowała! Cicho! rzekła poważnie widząc że Brygida uniosła się gniewem. Ani jednego słowa! on już nie żyje! Niechaj przewinienia jego pozostaną z nim razem pogrzebane w grobie. Chcę wziąść to dziecko i możecie być pewni że zrobię dla niego więcéj niżeli wy moglibyście zrobić. Tak, o ile to będzie w méj mocy... zatrzymała się i zbladła bardzo... o ile tylko będzie w méj mocy, powtórzyła prędko, postaram się wynagrodzić krzywdę wyrządzoną mu przez ojca. Jeżeli nie zgodzicie się na to aby jechał ze mną, nie będę wam się naprzykrzać już więcéj; w przeciwnym zaś razie wynagrodzę was szczodrze za wszelkie poniesione dla niego trudy i koszta. Wezmę go do siebie, będę łożyć na jego wykształcenie i obchodzić się pod każdym względem jak z własnym... tak, jak z własnym synem. Teraz powtórz to wszystko swoim rodzicom, a dziś wieczór przyniesiesz mi ich odpowiedź do miejscowéj oberży. Zapytasz się o lady Dynely.

Wstała i wyszła z chaty, z miną osoby która spełniła przykry i upokarzający obowiązek.

Wieczorem ukazała się Brygida. Jéj cześć jest bardzo łaskawą i z wdzięcznością przyjmują jéj wspaniałomyślną ofiarę. Rok ten był bardzo ciężki w tych stronach i dlatego jedynie oddają jéj Terrego, w przeciwnym razie nie zgodziliby się na to nigdy.

Nazajutrz lady Dynely opuściła Galway, ale wraz z nią w powozie jechał czysto umyty i ubrany Terry. Pojechała do Dublinu i tam oddaliła służącę, chcąc aby znikły wszelkie ślady pochodzenia Terrego, a przyjęła inną która miała pełnić jednocześnie obowiązki bony Terrego, jéj panny służącéj i udać się wraz z nimi do Anglii.

Z Dublinu pojechała prosto do hrabstwa Lincoln i pozostawiła tam chłopczyka. Były to jéj rodzinne strony a wikaryusz w Starling był jéj przyjacielem, u niego téż umieściła Terrego.

Wikaryat znajdował się w płaskiéj i bagnistéj okolicy; za piaszczystemi wydmami wybrzeży rozlewało się szare i smutne morze. Wikary był ubogi, nie miał żadnych prawie stosunków ze światem, a całe jego bogactwo stanowiła spora gromadka córek, pod tym względem nie potrzebował zazdrościć nikomu, dlatego téż przyjął z radością propozycyę lady Dynely, aby się podjął wychowania Terrego.

Milady opowiedziała w krótkich słowach historyę chłopczyka. Nazywał się Terry Dennison, był zupełnym sierotą i synem kuzyna zmarłego jéj męża, kuzyna bardzo dalekiego, Irlandczyka, ale zawsze kuzyna, i z tego powodu syn jego ma prawo do opieki wdowy pozostałéj po lordzie Dynely, tym więcéj że był ubogim i nie miał wcale krewnych i pozostał sam jeden na świecie. Czy pan Higgins zechce przyjąć go do siebie, wychowywać jak własnego syna, uczyć, i przyjąć w zamian...

Pan Higgins uznał że propozycya jest bardzo świetna, ułożono się natychmiast i życie Terry Dennison rozpoczął nowe.

Opiekunowie nie wiele mogli dowiedzieć się od niego o dawniejszem jego położeniu; umysł chłopczyka był jeszcze bardzo nierozwinięty; poznali jednak z łatwością że przebywał wśród bardzo biednych ludzi. Pozostał w domu wikarego aż do piętnastu lat życia a następnie posłano go do Eton z małym Erykiem lordem Dynely, gdzie też zaprzyjaźnili się z sobą.

W tym roku pierwszy raz przybył do Opactwa Dynely, i przepędził tam święta Bożego Narodzenia, i od tego czasu przepędzał już naprzemian wakacye w wikaryacie lub w Opactwie. Trudno byłoby powiedzieć gdzie wolał przebywać. W wikaryacie, państwo Higgins zastępowali mu ojca i matkę a prócz tego była tam jeszcze mała Izy, którą kochał najwięcéj ze wszystkich córek swych opiekunów, i najpiękniejsza dziewczynka w całem hrabstwie; ale znów w starem opactwie mieszkał anioł opiekuńczy jago życia, lady Dynely.

Terry Dennison kochał ją uczuciem głębokiem, silnem, nieograniczonem, dochodzącem do uwielbienia. W jego mniemaniu była ona najlepszą i najpiękniejszą z kobiet. Teraz rozumiał już jak wiele jéj był winien, i otrzymane od niéj dobrodziejstwa napełniały poczciwą jego duszę wdzięcznością któréj nic nie zdołałoby zachwiać. Ona jak anioł zesłany z nieba ulitowała się nad nim i wydźwignęła go z nędzy w któréj inaczéj wegetowałby dotąd.

Nie czyniła w niczem różnicy między nim a własnym swym synem. Dawała mu nawet więcéj pieniędzy na drobne wydatki niżeli Erykowi; w tym roku na Boże Narodzenie dała mu złoty zegarek, w przeszłym pięknego poneya. Obsypywała go zawsze darami i nie szczędziła mu słów życzliwych, tylko nigdy... tak, ani raz jeden, nie otrzymał od niéj najmniejszéj pieszczoty. Odsuwała się od niego pomimowolnie spoglądając na niego zawsze ze wstrętem, a często z przerażeniem.

Tego jednak Terry nie widział. Nie posiadał, jak to już wspomnieliśmy, bystrego umysłu; ale w sercu jego odzywało się jakieś dziwne uczucie, ile razy widział że syna obsypuje pocałunkami. Zazdrościł po trzykroć szczęśliwemu Erykowi, lecz nie jego piękności, tytułów ani też majątku: o nie! on zazdrościł mu tych pieszczot macierzyńskich które jak grad spadały na niego. Eryk wyzwalał się nie raz z jéj objęć jak dziecko zniecierpliwione pocałunkami, a w takim razie lady Dynely byłaby mogła widzieć okrągłe, celtyckie oczy Terrego, utkwione w jéj twarzy z wyrazem namiętnéj i cierpliwéj tkliwości, jaką w oczach psa widzimy.

To jego przywiązanie, ta cześć dla niéj wzrastała jeszcze z latami. Ona była dla niego zbiorem wszelkich doskonałości, ona przewyższała wszystkie inne kobiety pięknością, dobrocią i czystością serca, szlachetnością duszy. Nie potrafiłby nigdy wysłowić, odmalować słowami choćby cząstki téj czci i uwielbienia jakie czuł dla niéj. Kochał Eryka przez wzgląd na nią, a po części i z powodu jego olśniewającéj piękności którą pociągał ku sobie serca wszystkich, kochał go jak niegdyś Jonathas kochał pięknego Dawida.

Terry udał się następnie do Oksfordu i pozostał tam aż do pełnoletności, a wówczas dobrodziejka jego spełniła najgorętsze jego życzenia, najmilsze marzenia, kupując mu stopień oficera w jednym z najpiękniejszych pułków kawaleryi. Tak jéj był za to wdzięcznym że byłby chętnie upadł jéj do nóg i ucałował kraj jéj szaty, ale powstrzymany nieśmiałością, zarumienił się tylko po uszy i nie wiedział co ma powiedzieć, co zresztą zdarza się często ludziom młodym, posiadającym wiele czucia, skoro zostają pod wpływem silnego wzruszenia. Po chwili dopiero zdołał wyjąkać kilka słów podziękowania.

„Nie dziękuj mi, proszę cię Terry, zawołała z żywością lady Dynely. Nie mogę uczynić dla ciebie zawiele. Jesteś... jesteś krewnym mego męża, jak ci wiadomo. Czyniąc to co czynię, spełniam tylko mój obowiązek.

Tylko obowiązek! O! zawsze mu to daje uczuć. Idzie za głosem obowiązku, ale nie przywiązania.

„Prócz tego pobierać będziesz jeszcze pięćset funtów rocznie, dodała jéj wielmożność, co połączone z twoją płacą, wystarczy ci zapewnie. Uważałam że nie lubisz wyrzucać pieniędzy, dodała z uśmiechem; stanowisz pod tym względem zupełną sprzeczność z Erykiem; który więcéj wydaje w ciągu jednego miesiąca na bukiety i rękawiczki niżeli ty przez rok cały. Gdyby ci to jednak nie wystarczało, powiedz mi to otwarcie, a zawsze i w każdym razie worek mój będzie dla ciebie otwarty tak samo jak dla mego syna.

— A! milady! nie zdołam wyrazić méj wdzięczności, wyjąkał Terry z trudnością. Nie stało mu głosu, a łzy rozczulenia wytrysły z jego łagodnych błękitnych oczu.

Usiadła i wpatrywała się długo w stojącego przed nią Terrego; wysoki, szeroki w ramionach, ogorzały, czerstwy, nie odznaczał się ani tą pięknością ani tym wykwintnym wdziękiem, jaki posiadał już z natury jéj uwielbiony Eryk, ale pomimo to zaraz na pierwszy rzut oka znać w nim było gentlemana.

(d. c. n)

Opis do N-ru 21.

(Dokończenie).

W trzecim rzędzie zaczyna się brzeżek z dziurek, otaczający kwadrat na około. Po dwóch pierwszych zwyczajnych oczkach robi się 1 o. duże na które nawija się dwa razy na wałeczek) i znów dwa małe. W następnym rzędzie robi się, zajmując w duże o. 1 o. bez węzła, 1 z węzełkiem i znów 1 bez węzełka. Na wszystkich następnych rzędach na brzeżek z dziurkami robi się naprzemian jeden rząd z wielkiemi oczkami, i drugi w którym w wielkie oczy zajmuje się 1 o. z węzełkiem a drugie bez jak na ryc. 30. Po 11 oczkach szlaku brzeżnego zaczyna się pasek siatki w gwiazdki, odznaczający się na tle kwadratu, w którym robi się naprzemian 3 o. małe 1 o. duże. W drugiem obrobieniu w każde duże oczko zajmuje się dwa oczka bez węzełka a trzecie środkowe z węzełkiem (jak na ryc. 30). W trzecim rzędzie idą naprzemian oczy duże z małemi. Czwarty rząd * w duże oczy zajmuje się 1 o bez węzełka, 1 o. z węzełkiem, potem robi się 2 małe w dwa następne poprzedniego rzędu a w duże oczko znów 1 o. bez, 1 z węzełkiem, znów 1 o. małe. Powtarzać od *. W piątym rzędzie: 1 o. wielkie na które trzy razy nawija się nitkę), dane naprzemian z 3 o. dużemi (na które po dwa razy nawija się nitkę. W szóstym rzędzie w pierwsze wielkie oczko zajmuje się 2 o. bez węzełka a trzecie środkowe z węzełkiem poczem następnie skrzyżowanie trzech następnych oczek wskazane dokładnie na ryc. 30, na które potrzeba pierwsze oko przeciągnąć pod wielkiem oczkiem, następnie przez nie przerzucić i przewlec w ten sposób przez środkowe o. z trzech następnych, ażeby środkowe szło pod pierwsze w które przerabia 1 małe oczko; 1 o. w o. środkowe poczem następuje skrzyżowanie następnych oczek, w powyżej wskazany sposób. W rzędzie siódmym: naprzemian 1 ocz. dwa razy nawinięte, 1 o. małe. Ósmy rząd jak czwarty. W dziewiątym w dalszym ciągu roboty paska z gwiazdek w kierunku skośnym po obu stronach robić między dwoma pierwszemi i dwoma ostatniemi wielkiemi oczkami znów po 1 o. dużem nawiniętem dwa razy, wszystkie inne oczka w tym rzędzie są małe. Dalszy ciąg roboty widoczny jest na ryc. 11. Wyszycie na kwadratach siatkowych wskazane na ryc. 8—12.

N. 32 — 34. Praska do rękawiczek.

Jest ona praktyczniejszą niż pudełka do rękawiczek, bo w niej włożone rozciągnięte rękawiczki, ściśnięte są zupełnie gładko. Model składał się z dwóch cienkich deseczek lub kawałków grubej tektury, po 40 cent. długości a 15 szerokości, pokrytych cieniutko watą i powleczonych białym atłasem. Do spodniej połowy przyszyte są końce atlasowe po 30 cent. długie a 3 szerokie, które następnie przewlóczą się pod riuszą daną brzegiem zwierzchniej połowy i wiążą na środku. Ryciny 33 i 34 załączają dwa rodzaje rzuciku, który haftuje się na atłasie stanowiącym zwierzchnie pokrycie praski.

N. 35. Szmizetka z koronki.

Może być zarówno noszoną na staniku pod szyję jak też na wyciętym kwadratowo; układa się na podstawie ze sztywnego tiulu 21 cent. długiej, 20 u góry szerokiej, pokrytej cienkim muślinem i zagarnirowanej koronką bretońską 3½ cent. szeroką, zaplisowaną drobniutko. Brzegi szmizetki otacza potrójna pliska z muślinu indyjskiego; wykrój szyi oszyty koronką i objęty pliską; zapięcie urządzone z tyłu a z przodu dana rozeta z koronki.

N. 39 — 40. Suknia z długim stanikiem i kamizelką. Krój jak do ryciny 43—44 i 12—15 w N-rze 11.

Przy pomocy powyżej wskazanego kroju tudzież zwracając uwagę na ryc. 39 — 40 w 21 N-rze łatwo dopasować formę długiego stanika. Rycina 39 przedstawia z przodu suknię z jasno popielatego wełnianego materyału z kamizelką z materyi deseniowej, zaś na ryc. 40 ciemna wełniana suknia przybrana jest aksamitem. Długi z przodu tylko na jeden guzik zapięty stanik, dopełniony jest kołnierzem z tyłu prosto, marynarsko ściętym, z przodu przedłużonym szalowo. Na szwach łączących boczki z plecami wpuszczone są wykłady, przytwierdzone dwoma guzikami; środkowe części pleców są roztwarte od dołu i złączone trójkątną zaplisowaną częścią. Rękawy można przybrać jak na ryc. 39—40 lub podług ryc. 24. U dołu sukni dane dwie plisowane falbanki; draperya złożona w fałdy przerzucona skośnie przez bryt przedni, ozdobiona szerokim wykładem jedwabnym jak na ryc. 39 lub aksamitnym jak na ryc. 40. Prosty bryt tylny, zakończony plisą i falbaną jest tylko lekko podpięty z boków.

N. 41. Sukieneczka w fałdy dla dziecka lat 3. Krój jak do ryc. 29—30 w N-rze 19.

Podług wskazanej powyżej formy palctocika dopasowywa się formę sukienki, potrzeba tylko wzdłuż przednich brzegów każdej połowy przodu i wzdłuż brzegów środkowych przy każdej połowie pleców dodać po 12 cent. na dwie kontrafałdy. Sukieneczka uszyta z bronzowego wełnianego materyału, ozdobiona jedwabną wypustką i małemi srebrnemi guziczkami; na rękawach wykłady 6 cent. wysokie, pasek 4 cent. szeroki założony w fałdy.



N. 1—2. Ubranie z vêtement „a panier" i długą kamizelką. Zobaczyć także Nr 28 i 31 w N-rze 23 Tygodnika Mód. Krój N. V Fig. 30—38.

N. 42. Sukieneczka z kaftanikowemi przodami, dla dziecka do lat 3. Krój jak do ryc. 41.

Sukienka z plecami złożonemi z kilku części, z dodanemi przodami kaftanikowemi, zapinana niewidocznie z boku, zbliżona jest formą do paletocika. Przody kaftanikowe niedochodzące szeroko do środka, wpuszczone na szwach bocznych i na ramionach, krają się o 9 cent. krócej od przodów sukienki i dopełnione są kołnierzem wykładanym, 5 cent. szerokim. U dołu sukienki przy kołnierzyku, na mankietach i kieszonkach dane naszycie z sutaszu w dwóch cieniach. Między rozchodzące się przody dany gładki plastron, zaczynający się przy brzegu kołnierzyka, a trochę niedochodzący do dołu, podsunięty od spodu i przytrzymany guziczkami.

N. 43—50 i ryc. 17—18. **Kapelusze** letnie.

N. 45. Kapelusz zdobny wstążką i piórami.

Rondo czarnego słomkowego kapelusza podniesione z przodu i z tyłu jest od spodu podszyte fałdowanym blado żółtym atłasem i podpięte takiemiż różami. Pukle na wierzchu główki i końce przeprowadzone wierzchem kapelusza pod spód ronda, służące do wiązania, są z wstążki żółtej atlasowej 6 cent. szerokiej. Krótkie strusie piórka ozdobione są na końcach grelotkami z żółtej szneli.

N. 46. Kapelusz z alzacką kokardą.

Biały bastowy kapelusz ma rondo płaskie z przodu 7 cent. szerokie, z tyłu podniesione 4 cent. szerokie, podszyte gładko niebieskim atłasem; pod rondkiem z tyłu podgarnirowana suta riusza z koronki 6 cent. szerokiej. Zwierzchnie przybranie składa się z wielkiej alzackiej kokardy, przypiętej na samym środku z przodu, której pukle z wstążki niebieskiej repsowej 10 cent szerokiej, liczą po 15 i 17 centym. długości; po za kokardą przypięta jest wierzchem główki i spadająca aż po za rondo girlanda, z drobniutkich polnych kwiatków i liści powoju, podłożona plisowaną koronką. Z tyłu po za rondkiem przyczepiona kokarda podług ryc. 46.

N. 47. Kapelusz zdobny kwiatami i koronką.

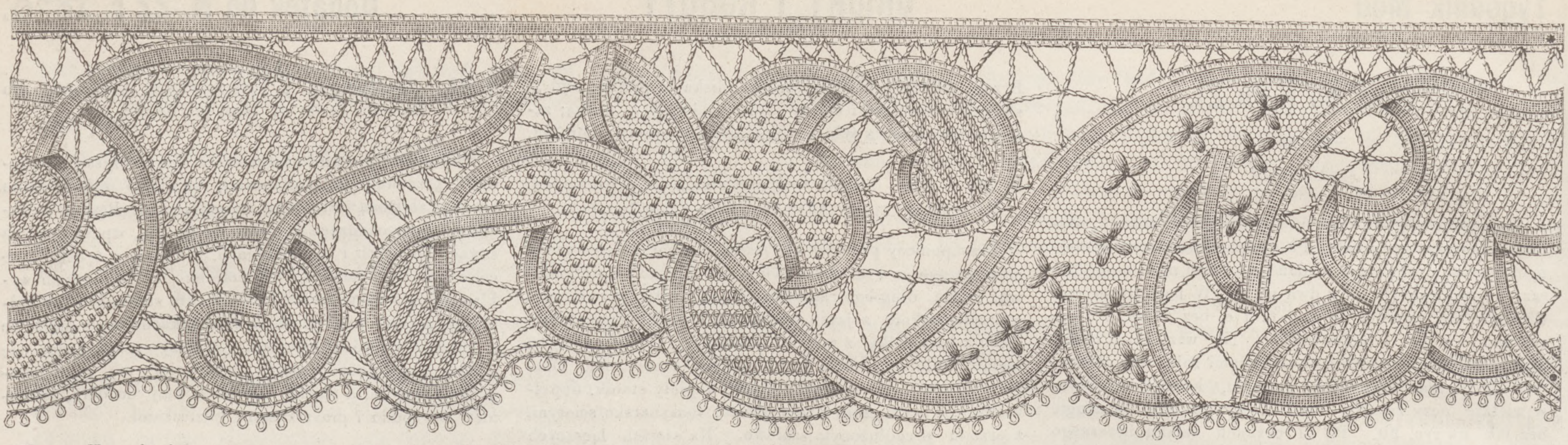
Rondo białego słomkowego kapelusza jest od spodu podszyte gładko różowym atłasem i podgarnirowane koronką 4 cent. szeroką. Na środku główki ułożona suta wachlarzowo fałdowana kokarda z koronki, na około której dany wianeczek z różowych astrów, od najciemniejszego do najjaśniejszego cieniu, przytwierdzony z boku bukietem różowych róż. Do wiązania służą końce z muślinu indyjskiego, 168 c. długie, 20 szerokie, ogarnirowane koronką bretońską 5 cent. szeroką.

N. 48—49 i 17—18. Dwa sposoby podszycia rondek.

Na ryc. 17 i 18 wskazujemy w zmniejszeniu dwa rodzaje podszycia rondek, składające się ze skosu jedwabnego lub aksamitnego, danego pod całem rodkiem i z kilku rzędów rulonika (ryc. 17 i 48) idących brzegiem rondka lub skosu z kolorowej materyi, przemarszczonego i naddanego podług ryc. 18 i 49.

N. 50. Kapelusz okrągły słomkowy.

Ma główkę przysłoniętą kolorową deseniową gazą,



N. 3. Koronka irlandzka robiona na tiulu, do kołderki i poduszeczki ryc. 5—6. Dalsza część deseniu Fig. 27.

z której z przodu upięta alzacka kokardą; z boku dwie wielkie róże do cieniu otoczone listkami i pączkami zachodzącemi aż do tyłu.

rya kilka razy przemarszczona, ozdobiona wypustką z materyału w paski a z boków wpuszczona na szwach. Kamizelka zapięta na płaskie guziki z konchy perłowej u góry wycięta kwadratowo i dopełniona szmizetką przemarszczoną i bufowaną z beżu gładkiego wszytą w pasek z materyału w paski; na złączeniu szmizetki z kamizelką dana kokarda z wstążki popielatej i granatowej 3 cent. szerokiej. Z boków na kamizelce dane gładkie kieszonki przyszyte czteroma guzikami. Plecy stanika mogą być przedłużone w bryt podpięty z boków i dochodzący do draperyi przedniej, lub odcięte w baskinę i dopełnione odzielnym brytem; brzegiem gładkich przodów, dana wąziutka plisowana falbaneczka.



N. 4. Połowa deseniu na poduszeczkę ryc. 4. Koronka irlandzka robiona na tiulu.



N. 56. Przykrycie z koronki irlandzkiej robionej na tiulu, na kołderkę i poduszeczkę do chrztu. Zobaczyć rycinę 3—4 i Fig. 27.

materyału ubierana jest materyałem deseniowym a stanik z długą baskiną otwartą z przodu zapięty na dwa rzędy guzików, pod szyją odwinięty w szerokie klapki, przypomina fason „Incroyables;“ proste kieszenie przyszyte na baskinie są po 16 cent. szerokie; mankiety na rękawach liczą po 8 cent.; pasy deseniowe naszyte wzdłuż przedniego bryta są 5 cent. szerokie.

Opis do N-ru 22.

N. 1 — 2 i 28—31 w N. 23 Tygodnika. **Ubranie** z vêtement à panier i bardzo długą kamizelką. Krój na dodatku z formami Nr. V Fig. 30—38.

Rycina 1 przedstawia z tyłu ubranie odrobione z czarnej materyi i z grenadyny, na modelu spódnica była z „gros-grin“ garnirowana plisowaniem i koronką bretońską czarną i białą. Vêtement z czarnej grenadyny podszyte było fularem a oszyte koronkami. Na ryc. 2 podajemy z przodu takie ubranie z bladoniebieskiego kaszmiru; „mille-fleurs,“ adamaszek jedwabny lub wełniany, albo jedwabna materya takiego samego al-

N. 51. Suknia z długą kamizelką.

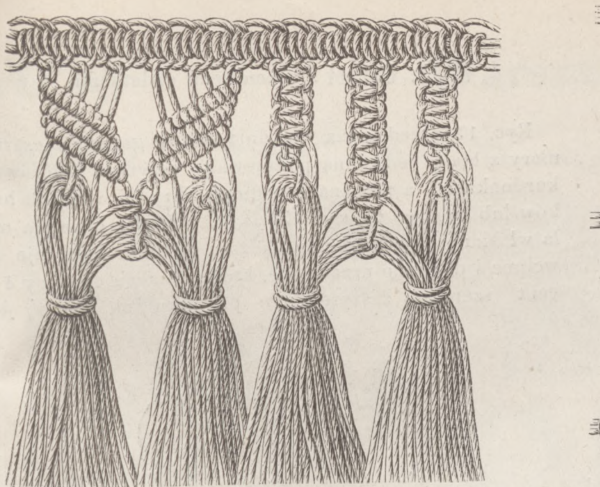
Odrobiona jest z popielatego beżu i materyału w pasy szafirowe i czarne, ma stanik z tyłu przedłużony w rodzaj vêtement a z przodu krótki i dopełniony długą kamizelką a la Louis XV. Na sukni z przodu dana drape-

N. 52. Suknia ze stanikiem z szeroko wyłożonemi klapkami.

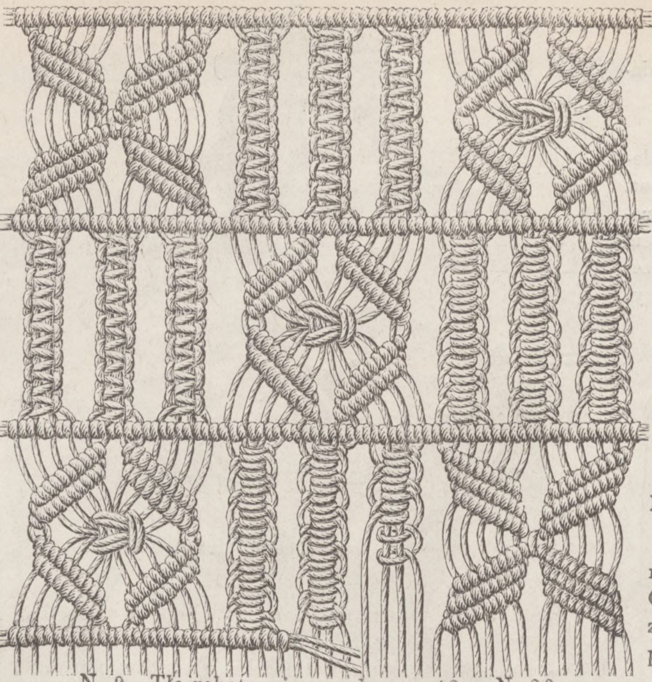
Beż gładki piaskowy i w rzucik kolorowy stanowi materyał na suknie; spódnica z gładkiego



N. 7. Taboret (puf) ozdobiony haftem kolorowym. Deseń na dodatku z formami Fig. 64.



N. 8. Frendzla robotą wiązaną, do poduszki pod nogi i ryc. 42 w N. 23.



N. 9. Tło robotą wiązaną do ryc. 42 w N. 23.



N. 10. Frędzla robotą wiazaną do ryc. 42 w N-rze 23.

bo innego odpowiedniego koloru służy na kamizelkę mankiety przy rękawach i na ranwersy z boków. Garnirunek stanowią plisowania z kaszmiru i koronka niciana, bretońska albo wyszywana na tiulu. Na Fig. 30 — 37 podajemy formę vêtement, które całe przedstawiamy na zmniejszonym rysunku Fig. 30a — 37a, a na Fig. 38 podajemy wzór i miary draperyi którą zapina się z boku. Części kamizelkowe kraje się z podszewki, dopasowywa potrzebne zaszewki w piersiach, a następnie z deseniowego materyału przykrawa się kawałki mające 35 cent. szerokości u dołu a dalej sięgające do zaszewki, jak to wskazane jest na Fig. 30a. Przody do vêtement krają się bez podszewki podług Fig. 31 i przyszywają na podszewce od kamizelki, w sposób na ryc. 2 wskazany, część zaś tylną zaszywa się z boku w 3 fałdki, ażeby stanowiła panier. Na Fig. 38 litera a), podajemy wzór i miary połowy przedniej draperyi zaś litera b) połowę bryta tylnego, które z boków są oddzielnie sfałdowane, w górze 25 cent. od paska do spódnicy przyszyte z przodu prawie gładko a z tyłu przyfałdowane. Boki draperyi powinny wypadać przy szwach bocznych vêtement, gdzie po wyprobowaniu na osobie mogą być przyszyte albo przypinane. Bryt b) jest także w środku szerokości w głęboką fałdę zaszyty i mały puf podpięty. Oprócz rękawa widocznego na ryc. 1 i 2, inny stosowny znajduje się na ryc. 3 w N. 23; wzory modnych guzików podajemy tamże na ryc. 28—30.

N. 3 — 6. Przykrycie na kołderkę i poduszeczkę do chrztu. Koronka irlandzka na tiulu. Część deseniu na Fig. 27.

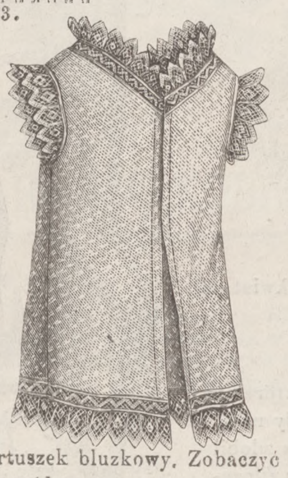
Ryc. 5 — 6 wyobraża małą poduszeczkę w ponsowej atłasowej powłoczce i także cienko watowaną kołderkę, ozdobione pokryciem koronkowem, robionem ręcznie z podłożeniem tiulu. Ryc. 4 podaje w naturalnej wielkości połowę deseniu na poduszeczkę, na którym dokładnie wskazane są rodzaje kratek powietrznych i robionych na tiulu. Środek tarczy herbowej może być stosownie zmieniony, lub też zapełniony monogramem. Deseń koronki do oszycia brzegów dajemy na ryc. 3, a ciąg dalszy któren złączyć trzeba w przerysowaniu punkt w punkt i gwiazdka w gwiazdkę na Fig. 27. Następnie powtarzać cały deseń. Dla braku miejsca nie możemy dołączyć deseniu kołderki, mającej 74 cent. długości a 56 szerokości.



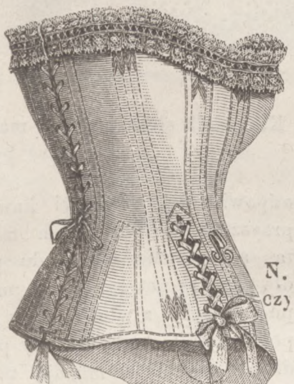
N. 14. Fartuszek bluzkowy dla dziewczynek lat 4 — 6. Zob. plecy na r. 15.



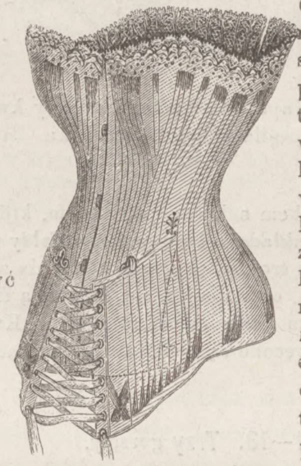
N. 13. Gorset z różnemi podkładkami.



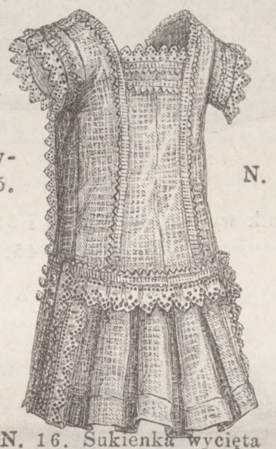
N. 15. Fartuszek bluzkowy. Zobaczyć przód na ryc. 14.



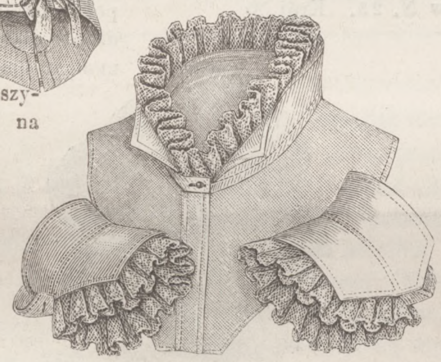
N. 11. Gorset szyty sznurowany na biodrach.



N. 12. Gorset tkany fabrycznie, z dodanym z przodu szerokim pasem.



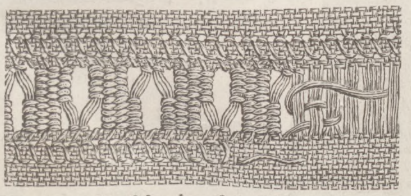
N. 16. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat 3 — 6. Przód na r. 18 w N. 23. Krój N. VIII F. 50—54.



N. 17. Kołnierzyk i mankiety płócienne, garnirowane koronką.



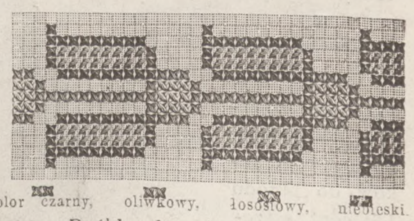
N. 18. Kołnierzyk i mankiety z koronki bretońskiej, lub wywodzonej na tiulu.



N. 20. Próbka kratki do ryciny 19.



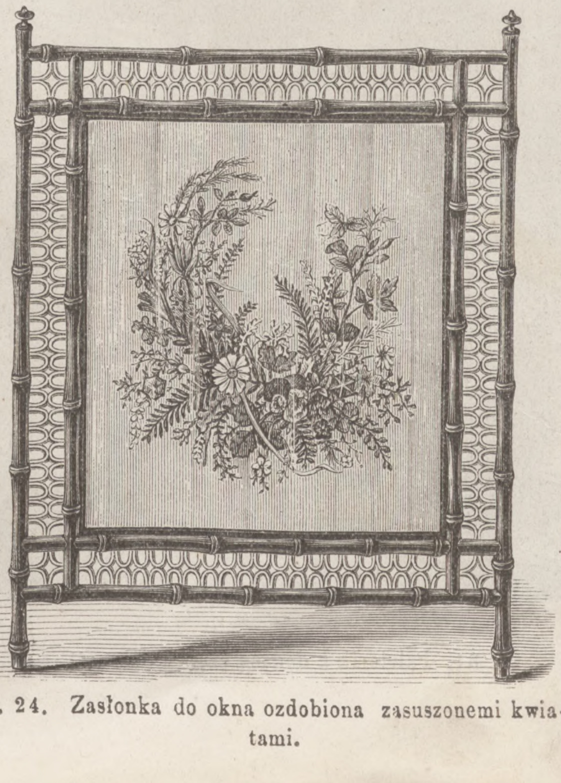
N. 19. Koszyk do robót z przykryciem ozdobionem haftem i kratkami ażurowemi. Desenie r. 20 i 21.



N. 21. Próbka deseniu krzyżykowego do ryciny 19.



N. 22. Spacerowy półbucik z klapką zapinaną na guziki.



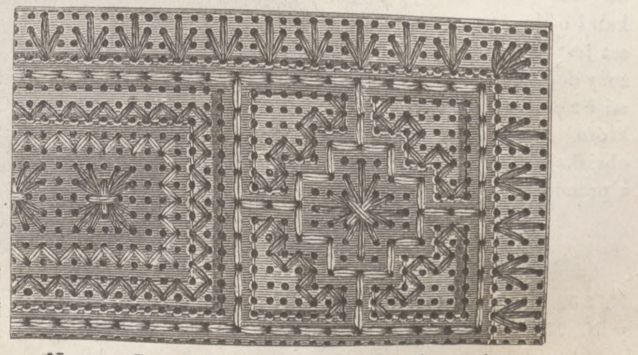


N. 23. Spacerowy półbucik z kokardą aksamitną.



N. 25. Deseń do wyszycia na kanwie papierowej, do ryc. 5 w N. 23.

N. 24. Zasłonka do okna ozdobiona zasuszonemi kwiatami.



N. 26. Deseń do wyszycia na kanwie papierowej do ryc. 5 w N-rze 23.

N. 7. Taboret (puf) ozdobiony haftem. Deseń na dodatku z krojami Fig. 64.

Ryc. 7 przedstawia taboret koszykową robotą, pleciony z sitowia, mający 38 cent. wysokości a 128 cent. obwodu, którén zarazem służy do chowania różnych drobiazgów. Siedzenie wyściela się na trochę wypukłem przykryciu zachodzącem na taboret; 8 cent. wysokie brzegi przykrycia są wysłane i przepikowane. Model pokrycia był grubem suknem popielatem, które na taborecie układane było w kontrafałdy mijające się w środku, poduszkę siedzenia zdobił haft płaski, odrobiony różno kolorową filozelą do cieniu z domieszaniem złota. Kwasty i sznury kręcone są z włóczki w kolorach tła i haftu.



N. 27. Kapelusz słomkowy ubrany kwiatami, dla małej dziewczynki.



N. 29. Stanik wycięty do ryc. 16 i 33 w N. 23. Krój N. VI Fig. 39—45.



N. 28. Kapelusik słomkowy dla małej dziewczynki.

N. 13. Gorset z rozmaitemi dodatkami.

Ryc. 13 przedstawia spodnią stronę gorseta z czarnej mory z białą jedwabną podszewką, oszytego kolorowym kordonkiem, a przeznaczonego do ukrycia różnych braków lub zboczeń figury. Zbyt małe biodra dopełnia mała włosianna poduszeczka, niższą łopatkę zastępuje dowcipne i dogodne urządzenie, które stanowią fiszbiny $1\frac{1}{2}$ cent. szerokie zaszyte jeden przy drugim, między dwa odpowiedniej wielkości kawałki perkalu, i przyszyte w odpowiednim miejscu do gorseta, a następnie od spodu przysznurowane, dla nadania potrzebnej wypukłości. Cienka poduszeczka z włosienia w skórkę oszytego podsunięta jest dla wygody pod fiszbiny. Podobne gorsety wymagają nader wprawnej i umiejętnej ręki.

N. 11—13. Trzy gorsety.

N. 11. Gorset szyty, urządzony do sznurowania na biodrach.

Dla osób dobrej tuszy mających duże biodra w miejsce drugich kliników dogodniejsze jest sznurowanie, które podług figury i woli rozluźniać można, zaś na wcięciu w stanie wszywa się aż do boków szeroki pas elastyczny.

N. 12. Gorset tkany fabrycznie.

Przy gorsecie tkanym fabrycznie bez szwów, dodane są od boków do przodu 17 cent. szerokie oddzielne części, które u dołu 8 cent. za gorset wystają i sznurują się z przodu. Duże i mocne haftki przyszyte do gorseta nie dozwalają tym pasom obsuwać się pod górę. Na ryc. 12 oznaczone jest punkcikami o ile gorset jest przydłużony dodatkowemi częściami, które dowolnie obciskają figurę z przodu.



N. 30. Luźny paletocik. Zobaczyć plecy na rycinie 32 w N. 23. Krój i opis na dodatku z Formami Nr. I, Fig 1—7a.

N. 31. Paletocik z dodaną częścią kamizelkową.

N. 32. Stanik z baskiną frakową i długą kamizelką.

N. 14—15. Fartuszek bluzkowy dla dziewczynki lat 4—6.

Forma gładkiego z boku kliniasto ściętego fartuszka jest oddawna znana, chcemy więc tylko wskazać zręczne naszycie garnirunku, którén stanowić może koronka i wstawka niciana, albo wskawka i falbanka haftowana.

N. 16 i ryc. 18 w N. 23. **Sukienka** wycięta dla dziewczynki lat 3 — 5. Forma na dodatku z krojami Nr. VIII, Fig. 50 do 54.

Rycina 16 i 18 w N-rze 23 przedstawia z przodu i z tyłu sukienkę z bryllantyny lub dymki białej część środkową przodu podaną na Fig. 50 trzeba najpierw odszyć oddzielnie p odług wzoru, a następnie przyszyć od spodu do lewej połowy przodu, do prawej połowy przyszywa się guziczki do zapinania.

(*Dok. nast*).